Nr. 22. Warszawa, dnia 2 Czerwca (21 Maja) 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym Abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

ZMIANA A NIE ZMIANA.

Najsłuszniej zapytać można: jeżeli p. Dupuy nie umiał przed paru miesiącami utrzymać steru rządów w swem ręku, to jaka jest rękojmia, że go utrzyma teraz? Zapewne, ale tu nie chodzi jedynie o osoby. Świeżo odstawiony Perier nie był ani gorszym, ani lepszym od Dupuya, obaj zaś — od tuzina prezesów gabinetu, którzy przesunęli się przed naszemi oczami. Jeżeli więc jeden z nich odchodzi ze sceny, a drugi wchodzi, to tylko dlatego, że ktoś na tej scenie być musi, że dla podtrzymania ruchu machiny państwowej niezbędny jest przy niej jakiś majster. Ażeby zaś Periery, Dupuye i tym podobni ochotnicy do odegrania krótkiej naczelnej roli wcielali w sobie jakieś ideje, zasady, programy i ażeby powołani byli do zwycięztwa nad innymi, o tem nikt nie myśli a nawet nie mówi. Nie słyszeliśmy od śmierci Gambetty ani razu, ażeby Francya lub Europa na widok nowego jej przewodnika w rządzie zawołała: Oto mąż, który otoczy swe czoło wawrzynem, który nada losom narodu inny obrót, który będzie słuchanym, bo jest wielkim. Nic podobnego nie słyszeliśmy. Wszyscy ci ludzie, zmieniający się szybko, odchodzący bez ogólnego żalu i wchodzący bez zachwytu, mogą być bardzo zdolnymi urzędnikami i bardzo czystymi charakterami, ale żaden z nich nie wyrasta głową po nad innych, dopóki znajduje się na równym z innymi poziomie i dopiero przez swe stanowisko staje się wyższym. Ich imiona są nieme, niczego nie mówią, niczego nie obiecują. Gdy je telegraf rozniesie po świecie, nie wiemy, co one znaczą, dopóki nas nie objaśnią znający dokładnie encyklopedyę biograficzną wielkości miejscowych. Wiedzieliśmy, co wyrażają nazwiska: Disraeli, Crispi, Bismark, Tisza, ale co wyraża nazwisko Dupuy lub Poincaré — musimy pytać. To też pomimo częstych zmian ministeryalnych we Francyi, właściwie żadne zmiany zasadnicze tam nie zachodzą, owszem istnieje dość jednorodna ciągłość.

Przedewszystkiem tedy brak ludzi wybitnych nie pozwala Francyi na częstsze odświeżanie się pod względem systemów, a rzadsze pod względem osób. Ale w łonie jej życia tkwią inne, czysto przedmiotowe przyczyny, które przeszkadzają zarówno utrwaleniu się obecnego stanu rzeczy, jako też wyjściu z niego. Mówimy tu o głębokim rozdziale między stronnictwami i żywiołami społecznymi, który nie dopuszcza zgody i współdziałania, stawiając coraz wyraźniej alternatywę: albo my, albo wy. Pomijając drobne odcienie lub też przeżytki socyologiczne, którym już tylko pozostała przyjemność bróżdżenia i przemawiania do puszczy, należy zwrócić głównie uwagę na dwie grupy: republikanów umiarkowanych, oportunistów i radykałów. Pierwsi z nich, stanowiący rdzeń klas partyj wpływowych, radziliby utrzymać nienaruszonym teraźniejszy stan rzeczy i formę republikańską nadziać treścią całkiem jej obcą, drudzy zaś żądają przerobienia państwa do gruntu z zupełnem uwzględnieniem interesu klas nieuprzywilejowanych. Nie jest to wszakże jakieś przeciwieństwo idealne, gdyż ci umiarkowani nie chcą być umiarkowani w bardzo wielu krzyczących zdrożnościach. Odkrycia panamskie, całe szeregi nadużyć w rozmaitych przedsiębiorstwach i odnogach administracyi wykazały, że panowie oportuniści pojmują swoją nazwę i hasło wyłącznie w znaczeniu „je prends mon bien, où je le trouve," nie pytając, czy to „moje dobro" nie jest cudzem. Skutkiem tego w szerokich kołach narodu odezwała się potrzeba wyzwolenia narodu z pod tej samolubnej i wyzyskującej go gromady, która nadużywa wielkich haseł dla nizkich celów. Ale nie wszyscy, którzy uznali tę potrzebę, zgadzają się na zadośćuczynienie jej środkami i sposobami radykalizmu, oraz na przesunięcie środka ciężkości rządów w jego kierunku. Stąd to zrodziła się we Francyi niechęć do tego, co jest, i do tego, co się narzuca jako poprawa; stąd wywija się ów ciągły wątek splątanych dążeń, zatargów i prądów, które nie mogą ani wytworzyć ładu, ani się pochłonąć. Prezydent Rzeczpospolitej, z urzędu i z natury pragnący utrzymać równowagę żywiołów, sklejał ministerya mieszane z różnych pierwiastków, które długo nie zdołały wytrwać w sztucznem sprzężeniu. Chociaż na widowniach parlamentaryzmu pojawiają się dość często takie dziwolągi, zawsze miały one żywot bardzo krótki. Dziedzina oświaty jest rzeczywiście odgraniczona od dziedziny robót publicznych lub marynarki, ale nasuwają się ustawicznie pewne zagadnienia ogólne, które rozwiązać trzeba w tym lub owym duchu. Jak tu zaś począć sobie, jeśli jeden minister jest konserwatystą, drugi ultramontaninem, trzeci umiarkowanym postępowcem, a czwarty radykałem? Ludzie prywatni tak różni nie mogą dojść z sobą do ładu, a cóż dopiero członkowie rządu! To też każda podobna próba wykazywała szybko swą nietrwałość.

Powołany do utworzenia nowego gabinetu Dupuy ma właśnie zrobić z niego taką sztuczną mieszaninę. Tyle ona będzie warta, co poprzednie. Dopóki we Francyi nie zyska przewagi jakiś żywioł, mający mocną oporę w narodzie i odpowiadający wymaganiom jego rozwoju, dopóki ten zwycięzki żywioł nie zdobędzie się na człowieka zdolnego być dzielnym obrońcą i bojo-

wnikiem jego zasad, dopóty będą tam zachodziły zmiany, które nie są żadnemi zmianami, dopóty trwać będzie stan tymczasowy, łatanina rządów zapomocą osób zużytych i niedorosłych do swego zadania. Wróżby głoszą, że niepewne to położenie wyjaśni się tak lub inaczej przy wyborze prezydenta Rzeczpospolitej w jesieni — może.

ZŁOŻYĆ BROŃ!

II.

Tak sądzą i mówią panegiryści i teoretycy sztuki wojennej! Pisząc przed pół wiekiem, należałoby zapewne z tej barwnej mozaiki poglądów wybijać argumentami biegunowo przeciwnej natury jeden kamyk za drugim; dziś atoli byłoby postępowanie takie tylko anachronizmem. Z atmosfery, w której lęgną się wszystkie pierwiastki współczesnych myśli i budują sprężyny teraźniejszych albo przyszłych czynów — pierwiastki wojny ulotniły się tak daleco, że opisana w poprzednim artykule jej obrona brzmieć musiała w uszach czytelnika naszego niby pieśń odległych daleko czasów, a w wyobraźni jego, jako jej wykonawca, zmartwychwstał Longinus Podbipięta Sienkiewicza. Ponieważ żyjemy atoli w wieku, który hasło rozwoju wypisał na sztandarze bojowym nietylko działalności praktycznej, ale zasadę tę przeniósł na pole nauki i metod badania — więc nie złorzeczymy wojnie, ale ją rozumiemy. Godzimy się z przeszłością, bo wiemy, że była wyrazem niezmiennej, żelaznej konieczności, że była tem, czem być mogła. Ale wiemy, że wskutek tych samych praw umarła już bezpowrotnie i wskrzeszać jej nie mamy nietylko potrzeby, ale i możliwości. Nietylko bowiem żona Lota — według starego podania — obejrzawszy się za siebie, obrócona została w bryłę zimnej, bezdusznej soli — i narodom los podobny grozić nie przestaje dotąd.

Jakie były zasługi wojny, wyliczać nie możemy. Zaledwie w kilku słowach wspomnimy o nich, odsyłając ciekawego czytelnika do *Zasad socyologii* Spencera, który tę kwestyę przedstawia obszernie i wszechstronnie.

Na zjeździe pokoju 23 marca 1889 r. mówił nieżyjący już dzisiaj prof. A. Franck: „...Tak, była wojna dobroczynną, stworzyła bowiem, zamiast chaosu pierwotnego, porządek, władzę na miejsce bezrządu, karność na miejsce bezustannych walk namiętności jednostkowych; nadała przytem pewną wartość odwadze, poświęceniu i bohaterstwu.“ Jest to mniej więcej wszystko, tylko w krótkich zawarte wyrazach.

Systemy socyologiczne przyjmują wyraz i pojęcie „wojny“ nietylko jako fakt, równy mordowi, dokonywanemu bez planu i grabieży chwilowej. Przeciwnie, wojna wchodzi w skład całkowitego poglądu na świat we wszystkie dziedziny życia i myśli pierwotnej. Opanowywa wszystkie stosunki, jakie w ogólnej swej powikłanej formie tworzą pojęcie „życia.“ Możemy sprawdzić ten pogląd teoretyczny na przykładach z różnych dziedzin myśli i czynu czerpanych. Nigdzie jednak z taką siłą nie wystąpi ten pierwiastek, jak w dziedzinie prawa. Rodzi je wojna. Człowiek broni się przeciwko napadowi wrogów, dokonywa zemsty osobistej, jeśli się uważa za pokrzywdzonego; niema sądu, każdy jest własnym sędzią i katem. Długie wieki rozwoju społecznego dzielą tę epokę zalążków instytucyj prawnych od owej późniejszej, gdzie na miejsce bezrządu pierwotnego staje władza publiczna, przed którą składają broń dawne namiętności. Na miejsce pierwotnej krwawej zemsty staje ofiara pieniężna, składana na rzecz spadkobierców przez mordercę. Na dalszych stopniach społeczeństwo znosi i ten rodzaj zemsty, a sobie tylko nadaje prawo wykonywania jej. Już na ostatnich szczeblach drabiny cywilizacyjnej pojęcie zemsty wogóle ustępuje z teoryi prawa zupełnie: społeczeństwo karze nie dlatego, ażeby karać, ale dlatego, ażeby poprawiać, podnosić charaktery upadłe albo zbyt słabe do walki z namiętnościami. Podobny rozwój zauważyć się daje w stosunkach międzynarodowych. I tutaj możemy odnaleźć wskazane poprzednio epoki. I tutaj zetknięcie pierwotne oznacza krwawą wojnę, walkę bezwzględną i beznadziejną, podsycaną jeszcze czynnikami innej natury. Ileż wieków pracy ludzkiej, ile wysiłków myśli trzeba było, ażeby od pojęcia „narodu obcego“ oddzielić przymiotnik „wrogiego,“ ażeby stosunkom międzynarodowym nadać pewien tylko zewnętrzny pozór prawa! Powoli wielkie umysły filozofów pracują nad kodyfikacyą tych luźnych ustępstw i wyprowadzają pierwsze podstawy prawa międzynarodowego z pomroki przeszłości. Dziedzina jego rozszerza się coraz bardziej; z niewielkich drobin podnosi się ono do wysokości sfery ogólnoludzkiej i powszechnej.

Nie chodziło nam w niewielu powyższych słowach o skreślenie tych szerokich podstaw ekonomicznych, które stanowią oddzielne epoki historycznego rozwoju, a na których wyrastało pojęcie prawa. Nie chodziło tutaj o przyczyny, które mniej więcej jeszcze istnieją, ale o rezultaty takiego lub innego ukształtowania się fundamentów życia ludzkiego w różnych epokach istnienia gromadzkiego.

Są oczywiście i przedewszystkiem przyczyny i powody ekonomiczne, które skłaniają narody europejskie do coraz głośniejszego wypowiadania żądań pokojowych. I nie dlatego tylko, że wojna pochłania bajeczne sumy w ludziach i pieniądzach, ale i dlatego, że jako możliwość (tj. w czasie pokoju) odrywa miliony najzdrowszej, najsilniejszej ludności od pracy produkcyjnej, Dotknęliśmy w słowach ostatnich najserdeczniejszego nerwu czasów naszych. Epoka produkcyi kapitalistycznej, która opasuje obręczą wszechświatowej wymiany całą ludzkość ucywilizowaną i dziką, wymaga przedewszystkiem bezpieczeństwa dróg, po których poruszać się może bez przeszkód w czasie i przestrzeni, bezpieczeństwa rynków, owych bogatych ognisk, które jednoczą spływające zewsząd promienie wytwórczości i wymiany, słowem, wymaga pokoju i zgody, niezmąconego niczem nieba politycznego. Mamy więc obszerne podstawy historyczne, na których powstać mogły dążenia do wszecheuropejskiego pokoju. Zobaczymy niebawem, jak wyłaniały się na drodze postępu ludzkiego z początku nieśmiałe „towarzystwa pokoju,“ które dzisiaj w tysiącznych punktach objęły cały świat myśli ludzkiej, jak tworzyły się i two-

---

1)

Władysław S. Reymont.

SUKA.

Szkic.

Witek! Mój złoty Witek!

Chłopak się obejrzał, źrebaka, na którym jechał, powstrzymał i mruknął:

— Cegój! A gdzie!.. To psinorody dopiro, zaro w skode, kiej świnie!

Pchnął swego konia, obegnał rozpraszające się po drodze i zbożu stado źrebiąt, spędził w kupę i podjechał znowu pod parkan okalający ogród, gdzie stała dziesięcioletnia może dziewczyna.

— Mój drogi Witek, pomóż mi zejść, mój złociutki, ja się tak boję, jeszcze spadnę — szczebiotała, przytrzymując się silnie ostro zakończonych sztachet.

— A juści — dostanę ta!..

I obojętnie zsuwał ściągnięte aż do kolan spodnie.

— To podjedź.

— Bez rów?

— Prawda — i spojrzała z przykrością w głęboki rów, idący równolegle z parkanem.

— Niech paninka chyci się słupka okrakiem i tak zjedzie na zimię.

— Jakto okrakiem?

— Loboga z tymi kobitami!.. To zawdy nic nie rozumi. Dyć kolanami i tyla.

— Acha! już wiem, wiem.

Przypomniała sobie Ewkę, zjeżdżającą z brogu po słupie.

— Tylko nie patrz, jak będę schodziła.

— Przez co?

— No, nie patrz! — zawołała energicznie, rozczerwieniona i zła, że nie rozumiał dla czego.

Chłopak drwiąco się roześmiał i odwrócił, a ona książkę trzymaną w ręku rzuciła na drogę i tak, jak radził, zsunęła się po słupku. Przez rów przeszła i wesoło zawołała:

— Dawaj tu konia, pojedziemy trochę.

Chłopak zaczął się kłopotliwie drapać w głowę.

— Dajże rękę, siądę z tobą i pojedziemy.

— A juści, a jak kto obacy i powi: jaśnie pani, to co? — mruknął markotnie.

— Nikt nie będzie widział, pojedziemy na łąki, albo do lasu — no, mój Witeczku.

— Kiej się bojom. Jaśnie ociec paninki powiedzieli, że kiej jesce raz zobacą, co z paninką jezdze, to mi taką frycówkę sprawią...

— Nie będzie widział, dajże rękę, już ci podaruję wstążkę czerwoną do koszuli.

Chłopak zmiękł. Ledwie bosą nogę wyprężył poziomo jak strzemię i rękę podał, już dziewczyna siedziała przed nim, chwyciła się grzywy i biła bosemi, w pantoflekach tylko nogami po bokach źrebca. Witek jedną ręką przycisnął ją do siebie, drugą klepnął w kark konia, zawrócił, gwizdnął, uderzył piętami — i polecieli jak wiatr, drogą ku łąkom leżącym niżej, pomiędzy parkiem a lasem.

Dziewczynie oczy i usta aż się śmiały z radości ogromnej, przenikał ją prąd jakiejś dzikiej energii i porywała szalona żądza ruchu, powietrza, krzyków; unosiła się na koniu i rwała naprzód. Twarz jej pałała, włosy się trzęsły zwichrzone, przed oczyma tylko migała przestrzeń. Nie mogła złapać tchu, chwilami kołowało się jej tak w głowie, że prawie traciła przytomność, a pobudzała źrebca do szybszego biegu, pokrzykując zuchowato: — Hop! Hop! I lecieli. Witek ją trzymał mocno, bił źrebca piętami coraz częściej i rozpalony jazdą krzyczał głośno: — Hop! hop!

— Hop! hop! — odkrzykiwała wesoło i jak przyrośnięta do konia, rozwichrzona jazdą, szczęśliwa, z przymkniętemi oczyma rzucała się w przestrzeń. Przelecieli łąki, nie widząc ludzi koszących trawę, przepłynęli wbród rzekę i znowu lecieli polami, na których zboża stały w kłosach, ugorami pełnemi stad i wesołych nawoływań pastuchów — lecieli bez tchu i pamięci, aż im ściana olbrzymiego lasu zagrodziła drogę, a zmęczony źrebiec zaczął zwalniać bieg i rozpierać się. Na skraju lasu Witek konia wstrzymał i zeskoczył na ziemię; dziewczyna zrobiła to samo; wzięła go za rękę, on konia za grzywę i poszli w głąb lasu. Cisza mroczna ich ogarnęła i maje-

rzą żądania sądów rozjemczych, jak wreszcie rodzą się projekty rozbrojeń.

De Brazza opowiada, jak pewnego dnia dopełnił z królem Maroko wzruszającej ceremonii „grzebania wojny.“ Wodzowie zebrali się na uroczystą rozmowę. Wykopano w ziemi wielki dół; rzucono tam mnóstwo narzędzi wojennych, czarni—kamienie, kule, biali—własne naboje, a wreszcie w tej ziemi, gdzie spoczęły symbole mordu, posadzono młode drzewo, które miało rosnąć jako żywe świadectwo zgody i przyjaźni.

W ostatecznym rezultacie i cały ruch pokoju nie chce czego innego, jeno „pogrzebu wojny“ i „mogiły jej symbolów,“ naśladuje tylko biednych czarnych „braci,“ którzy wskazali mu drogę, po której dążyć winien i — zwyciężać może. Wie, że „grunt,“ na którym działa, jest dobrym i do przyjęcia ewangelii, którą głosi, przygotowanym. Może więc żywić nadzieję, że drobne płonki, które sadzi wciąż i bezustannie, wyrosną dumnie i potężnie. Że posiadać będą — jak mówi Revon, u którego zapożyczamy tę opowieść — siłę dęba, opierającego się bohaterskiemi ramionami wszelkiej nawałnicy i wszystkim huraganom, że ich niezliczone gałęzie obejmować będą coraz to dalsze przestrzenie, że u stóp ich kryć się będą mogły źdźbła trawy bezbronnej, skromne i nieznaczne, delikatne włókna roślin niecodziennych — wszystkie kwiaty najświętsze cywilizacyi.

Humanus.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Prozes gabinetu węgierskiego jeździ ustawicznie do Wiednia dla skłonienia cesarza do nacisku na magnatów, ażeby przyjęli ustawę o ślubach cywilnych. Co prawda, Izba niższa nie ułatwiła im tego przykrego zadania, gdyż uchwaliła ponownie cały projekt bez żadnych zmian. Gdyby przynajmniej wstawiła lub usunęła jakieś słowo, magnaci mogliby, udając niezwyciężonych, powiedzieć: „A, teraz to co innego, w tej formie — zgoda,“ chociażby ta forma pozostała w gruncie rzeczy nietkniętą. Pierwotnie grożono natychmiastowem zamianowaniem odpowiedniej liczby nowych parów, którzyby dostarczyli rządowi potrzebnej liczby głosów. Obecnie zdaje się, że ten środek będzie zastosowany tylko w ostateczności, tj. gdy magnaci nie ulegną woli cesarza.

Komisya parlamentarna Rady państwa przyjęła traktat handlowy z Rosyą, którego przejście w pełnej Izbie nie ulega żadnej wątpliwości.

Natomiast między Niemcami a Hiszpanią wybuchła wojna celna, gdyż układy o zawarcie umowy rozbiły się na oporze kortezów.

Przekształcanie ustroju państwowego w Serbii według starego planu odbywa się ciągle, chociaż nie bez poważnych kłopotów. Rząd musi prowadzić swą czynność w dwu kierunkach: przerabiać instytucye i obsadzać je nowymi ludźmi, a jednocześnie śledzić nici spisków dokonanych i zamierzonych. Największe wrażenie sprawiła wiadomość o odkryciu tajemnej fabryki nabojów, których setki tysięcy miały już być puszczone w obieg. Naprzód twierdzono, że były one przeznaczone dla milicyi narodowej, wciągniętej do sprzysiężenia; teraz znowu słyszymy, że wyrabiano je w celach handlowych. Jeżeli ci, co szukają prawdy na gruncie, jeszcze jej nie znaleźli, czyż my o to kusić się możemy?

Trudno pojąć, co znaczą ciągle powtarzane i zaprzeczane pogłoski o niesnaskach w łonie rządu niemiecko-pruskiego. To Caprivi ma się kłócić z Miquelem, to jeden lub drugi ma wkrótce ustąpić, to cesarz jest z jednego lub drugiego niezadowolony, to do tej wiecznie powaśnionej dwójki dodawany bywa hr. Eulenburg, prezes ministrów pruskich. Prawie każdego tygodnia zmartwychwstaje jakaś w tej mierze plotka, której organy urzędowe natychmiast ucinają głowę. Przysłowie powiada, że gdzie jest dym, tam musi być ogień. Otóż zaglądający zblizka do tego wiecznie wrzącego kociołka utrzymują, że podkłada pod niego ogień Bismark. On, ciągle niespokojny, niepogodzony ze swym losem i nienawidzący swych następców, jątrzy stosunki za pośrednictwem intryg i artykułów w *Hamburg. Nachrichten.* Jest to na małą skalę wykonywana robota, którą za czasów swej władzy wykonywał na wielką. Śliczne zajęcie!

Cesarz niemiecki, mianowany szefem pułku angielskiego (zaszczyt ten po raz pierwszy udzielony został obecnemu dostojnikowi), gotuje bardzo uroczysto przyjęcie w Berlinie wysłannikom wojskowym. W obecnej chwili jest to najważniejszy wypadek polityczny w bieżącem życiu Niemiec. Pora letnia już zaczyna wywierać swój wpływ.

Zdjęcie katarakty z oka Gladstona powiodło się szczęśliwie, a wielbiciele „wielkiego starca“ przepowiadają nawet jego powrót do rządów. Jest to wszakże tylko pobożne życzenie. Należałoby bowiem obok katarakty zdjąć Gladstonowi jeszcze kilkadziesiąt lat wieku, czego już żaden chirurg nie dokona.

Prezydent Peixoto zaręcza uroczyście, że powstanie w Brazylii ostatecznie stłumione. Jeszcze poczekajmy, zanim uwierzymy.

BADANIA NAUKOWE.

POCZĄTEK RODZINY
W ŚWIETLE POGLĄDÓW BIOLOGICZNYCH.

(Dokończenie).

Drugi z wymienionych wyżej etapów rodowej ewolucyi rodziny określa Morgan w sposób następujący. Przyjmuje on, że ze stanu ogólnego zmieszania płci wcześnie bardzo rozwinęła się wyższa postać związku płciowego, którą nazywa „rodziną pokrewieństw“ (Blutverwandtschaftsfamilie autorów niemieckich). Grupy, pozostające pomiędzy sobą w stosunkach, rozdzielone są tutaj według pokoleń, tak, że np. wszyscy dziadkowie i wszystkie prababki w granicach rodziny tworzą grupy małżonków, podobnie też ich dzieci, i znowu wnuki przedstawiają zamknięte zworza małżeńskie. Tutaj zatem w przeciwstawieniu do stanu promiscuitatis, w którym istnieje miesza-

---

stat jakiś potężny. Wybrali sobie niewielką, pokrytą mchami polankę i siedli odpoczywać. Dziewczyna spotniałą twarz wycierała fartuszkiem, a Witek położył się na brzuchu i sapał. Przysunęła się bliżej do niego, bo las tak zaszumiał, że ją przeniknął niepokój. Żółtawe pnie sosen, niby tysiące kolumn, podpierających zielone sklepienia, stały bez ruchu, dołem mchy złotawe, miękie jak jedwab, rozściełały się niby kobierzec, a gdzie niegdzie wachlarze paproci drżały poruszane nieznanym powiewem. Słońce słabo przeświecało przez gałęzie i kładło nikłe, złotawe plamy arabesek na mchy i jasno zielone liście leszczyn. Żywiczna woń lasu przepełniała im piersi, a ten spokój panujący do koła onieśmielał tak, że długo siedzieli w milczeniu nasłuchując, bo wdali gdzieś kuł dzięcioł zawzięcie, przyczepiony do sosny, to znów wrona z krakaniem przeleciała nad lasem, to śpiew kosiarzy doleciał słabem echem z łąk, to jakieś pokrzyki wesoło leciały po lesie. Taka była chwilami cisza, że słyszą szelest spływających na ziemię długich, złotawych szpilek sosnowych. To znowu stado srok nadleci ze skrzekiem, kłócą się, aż las kipi wrzawą i odlatują; to żuk przeleciał z brzękiem lub pszczoła za kwiatem; to wiewiórka zachrupocze zeszłorocznemi szyszkami, to wiatr zaszemrze w koronach, skłóci harmonię, aż się pochwycą przez chwilę olbrzymy w poważnym rozhoworze. I znowu cisza. Świetlane piętna wsiąkają w zieleń i niby złoty haft plamią bursztynowe pnie sosen. Potem przychodzi coś jak cień, wsącza się zwolna w las, mroczeje, robi się czarniawo, wszystko zdaje się zapadać w jakieś głębie, i szmer się rozlega podobny do jęku smutnego, chłodny oddech idzie z leśnych głębin i uderza w dzieci przejmującą falą zimną. Źrebak szczypiący młode listki jagodzin zarżał niespokojnie. Wróciła im wesołość i nie czuli zmęczenia. Witek zobaczył wronie gniazdo na sośnie i chciał wejść na nią, ale nie mógł, próbowała tego i dziewczyna, ale poszarpawszy sobie sukienkę i podrapawszy skórę na nogach, zaniechała. Zaczęli się gonić, chować za pnie drzew, przewracać. Chciała się koniecznie nauczyć stawiać „suchego dęba,“ ale za każdą próbą, choć ją Witek przytrzymywał za nogi, padała wśród ogromnego śmiechu obojga. Witek uciął dwa leszczynowe kije i uczył ją gry w świnkę. Śmieli się tak, że aż się rozlegało po lesie; źrebak im wtórował rżeniem i biegał za niemi jak pies. Dziewczyna czuła się tak ogromnie szczęśliwą i rozradowaną, że zapomniała o całym świecie. Wreszcie syci zabawy, zabrali się do powrotu. Jechali wolno. Witkowi tylko zaczęło coś dolegać, bo się kręcił niespokojnie i wybiegał wzrokiem ku drodze, gdzie pozostawił stado.

— Pić mi się chce — powiedziała, gdy wjechali w rzekę, i koń przystanął sącząc przez zęby mętną wodę. Witek się nachylił, w swój słomiany kapelusz wody nabrał i podał — piła chciwie.

— Czemu taka mętna?

— W Kotlinach wodę puścili, o — jak przybiro!

Rzeka toczyła się z szumem, pokryta żółtawą pianą, i występowała z brzegów.

— A gdzie Finka? — spytała.

— Bo jo wiem? Gdziesik pociekła, bo juz i wczoraj nie była ze mną.

— Ma już mało pieski?

— Jesce nie.

— Jednego mi dasz — co? Ja tak lubię pieski! Będzie z lalką sypiał.

— Bedzie ta sipiał! Jaśnie ociec paninki kazą go utopić w chrapie. Tak, paninko, trza prędzyk — dodał przypomniawszy sobie panią.

— Jeszcze trochę pojedziemy tak wolno. O patrz, jak tu ładnie!

— Źruboki ostawiłem na drodze... Jak nie posły w ogrodzenie, ino w żyto — to dopiro będzie piekło — i uderzył nogą źrebca do pośpiechu.

— O jak tu ładnie. Patrz Witek—i wskazała ręką zachodzące słońce.

— Prowda — czerwuno.

Dziewczyna się wpatrzyła w przestrzeń, a Witek raz poraz znaglał bieg konia i ze strachem myślał o źrebakach.

Cały zachód pokrył się jakby łuską z purpury, przesiąkłej złotem na tle szaro-błękitnej głębi; niżej, tuż nad słońcem rozciągał się płat nieba wielki, długi, porwany w kawały, koloru miedzi, powleczonej czerwonawymi odblaskami słońca, którego kula tuż nad ziemią, niby bezrzęsne oko, świeciła jaskrawo. W ogniach zachodu wąsate kłosy jęczmienia, przesyco-

nie się płci bez różnicy wieku, wzajemne stosunki płciowe ograniczają się do obrębu kolejnych pokoleń, różne zaś generacye nie mieszają się z sobą.

Jako dowód faktycznego istnienia takiego stanu przytaczają autorowie np. hawajski system pokrewieństwa oraz dane, jakie znajdujemy u Herodota ze względu na pewne ludy starożytne. Engels wyraża się o tym stanie: „Rodzina pokrewieństw wyginęła. Nawet u ludów najbardziej barbarzyńskich, o jakich tylko historya opowiada, nie daje się ze ścisłością wykazać przykład takiego stanu. Lecz że *musiał* on istnieć, zniewala nas do tego poglądu system pokrewieństwa hawajskiego, w całej Polinezyi obecnie jeszcze rozpowszechniony, wyraża on stopnie pokrewieństwa, które mogły powstać tylko przy tej formie rodziny.“ Ziegler dochodzi do wniosku, że rodzina pokrewieństw jest hipotezą, nieopartą na żadnych poważnych dowodach naukowych, nie jest „ona niczem dostrzeżonem — mówi on—lecz tylko czemś wywnioskowanem,“ dane zaś, z których te wnioski wyprowadzono, są tylko „sztucznemi hipotezami (takiemi są mianowicie objaśnienia nazw pokrewieństwa u hawajczyków).

Czwarty stopień, oznaczony nazwą „Punaluafamilie,“ polegał na tem, że „bracia lub kuzynowie różnego stopnia byli wspólnymi mężami wspólnych swych żon, które nie mogły być jednak ich siostrami.“ Idea o „rodzinie punalua“ wygłoszona została przez Morgana na podstawie nazw, nadawanych stopniom pokrewieństwa u ludów Polinezyi. Ziegler powiada: „Należy mieć wielką śmiałość, aby według metody Morgana ze sposobu oznaczania pokrewieństwa wnioskować o rzeczywistem fizycznem pokrewieństwie; jeżeli np. na Hawai bratowa nazywaną bywa przez szwagra żoną, to jeszcze nie dowodzi, aby pozostawał z nią w stosunkach płciowych, lub ażeby miewało to miejsce w dawniejszych czasach. Morgan zaś wyprowadza wnioski tego rodzaju: Jeśli w Polinezyi stryj nazywa dzieci swego brata swojemi dziećmi, to Morgan przyjmuje, że stryj pozostawał w stosunkach płciowych z matką tych dzieci, tj. z jego bratową, tak, iż dzieci mogły być faktycznie jego dziećmi.“ Starcke (*Die Primitive Familie in ihrer Entstehung und Entwickelung dargestellt*, Lipsk, 1888) powiada: „Jest to więcej, niż wątpliwe, aby familia punalua istniała kiedykolwiek u ludów polinezyjskich, zwłaszcza na wyspach Sandwich, skąd wzięta jest nomenklatura.“ Brentano (*Die Volkswirtschaft und ihre concreten Grundbedingungen*, Zeitschr. für Soc. u. Wirtschaftsgeschichte, 1893) niedawno skrytykował bardzo surowo teoryę Punalua i co do wspomnianych nazw stopni pokrewieństwa wyraża się: „Nazwy owe nie mają pierwotnie nic wspólnego z pokrewieństwem; oznaczają one tylko stosunki wieku, płci i zewnętrznego... towarzyskiego stanowiska.“ Brentano zwraca w swej krytyce uwagę na stosunki w Hawai, na których właśnie Morgan oparł twoją teoryę o rodzinie punalua. Ziegler robi słuszną uwagę, że i u ludów wysokiej kultury bywają w użyciu nazwy, nie wyrażające jednak rzeczywistych stosunków pokrewieństwa ani obecnych, ani też dawniejszych, zanikłych; zięć np. nazywa teścia swego ojcem, zakonnice razem mieszkające zwą się siostrami, a mnichowie braćmi!

Czwarte stadyum rozwoju rodziny stanowi stosunek oparty na prawie macierzyństwa. To ostatnie objawia się głównie w tem, iż pokrewieństwo przez matkę poczytywane jest za ważniejsze, niż przez ojca, dzieci nazywane bywają przeto po matce, a odziedziczenie majątku, zwłaszcza własności ziemskiej, następuje wyłącznie w linii żeńskiej. Mac Lenan, a za nim i inni twierdzili, że prawo macierzyństwa dowodzi uprzedniego istnienia stanu promiscuitatis, że przy tym ostatnim niewiadomy jest ojciec i że przeto pokrewieństwo za pośrednictwem matki musiało stać się podstawą prawną w stosunkach społeczno-rodzinnych.

Ziegler natomiast, Starcke i inni dowodzą zupełnie słusznie, że ten pogląd Mac Lenana, Morgana itd. jest zupełnie nieuzasadniony, albowiem u iroksenów, pokolenia indyan północno-amerykańskich, u których prawo macierzyństwa do dziś dnia istnieje, nie pochodzi ono stąd, iż ojciec jest niewiadomy, gdyż u nich istnieje monogamia, a potomstwo pary małżeńskiej publicznie bywa uznawane jako takie.

Ale zarówno jak z prawa macierzyństwa, występującego np. u iroksenów, nie wynika koniecznie, aby poprzedzał je stan promiscuitatis, tak też i pogląd Morgana, że prawo to poprzedzało w rozwoju rodziny stan obecny, właściwy ludom kultury— nie wytrzymuje również ścisłej krytyki naukowej. „Spostrzeżenie — mówi słusznie Ziegler — iż pewne pokolenia indyjskie, które posiadały prawo macierzyńskie, przy zetknięciu się z kulturą europejską, wyzwoliły się z niego i przyjęły system ojcowski, nie dowodzi bynajmniej, iż *wszystkie ludy*, które uznają dziś prawo ojcowskie, podlegały niegdyś macierzyńskiemu.“ Dla biologa prawo macierzyńskie nie jest zjawiskiem pierwotnem, lecz wtórnem, cenogenetycznem.

Ze wszystkiego, co wyżej powiedzieliśmy, wynika, że według zasad biologii, rodowód rodziny, wyprowadzony przez Morgana, jest w znacznej bardzo mierze dowolny i stoi w sprzeczności ze stanowiskiem, jakie w tym względzie zajmuje biologia. Według pojęć tej ostatniej, w najodleglejszych epokach rodu ludzkiego istniała rodzina, oparta na stosunku monogamicznym i przewadze płci męzkiej.

Bo oto jak kształtowały się stosunki życia płciowego w świecie organicznym. U zwierząt niższych samice składają jaja do wody, a samce umieszczają w pobliżu nasienie, które zapładnia jajeczka — właściwego parzenia się płci nie ma tu jeszcze wcale. U wyższych nieco ma miejsce parzenie się, ale bez wyboru, dwie płcie spotykają się, czasowo przebywają razem i rozchodzą się zaraz — jest to stan, który możnaby oznaczyć nazwą „promiscuitas,“ zapożyczoną od etnologii. Stan taki znajdujemy np. u robaków, owadów, oraz u niższych kręgowców. Potomstwo pozostawione zostaje samo sobie, albo też jedna z płci opiekuje się niem przez pewien czas, najczęściej samica, rzadziej samiec (grzbietoród, ciernik).

U jeszcze wyższych gromad zwierzęcych parzenie się dwóch płci trwa już przez dłuższy okres czasu, a mianowicie obie tem trwalsze zawierają związki, im wyższe są ich popędy instynktowe. U ssących, odznaczających się wyższą inteligencyą, a nawet już u większości ptaków, mamy monogamię, trwającą przez dłuższy lub krótszy okres czasu; para bocianów np. gnieździ się przez długie lata na wspólnem

---

ne światłem, mieniły się głęboką zielonawo-złotą barwą. Żyta miały odcień stalowy. Koniczyny rozkwitłe tworzyły kobierzec o krwawym odblasku, pocentkowane kępami liliowych jaskrów, ostro się odcinały od popielatych pól owsa. Drzewa stojące wprost słońca, przedłużone cieniami, miały pozór olbrzymów: z jednej strony zieleń ich była złotą, z drugiej czarną. Słońce lało strumieniami światło po przez liście i gałęzie, rysując na przydrożnym trawniku, jak bizantyjski malarz, złote tło do obrazu o konturach z cieni.

Zmrok wyłaził z jakichś nor przestrzennych i słaniając się, zataczał coraz szersze kręgi. Słońce przygasało, w brózdach, po rowach, pod rozłożystemi gruszami ciemniało, łąki zaczęły siwieć rosą i okręcać się fioletowemi mgłami. Cichość jakaś wlewała się w świat i brała wszystko w moc swoją.

Witek tego wszystkiego nie widział, tylko co chwila mówił:

— Paninko, loboga prędzyk!

— Nie bój się, ja poproszę papy, to cię nie wybije. Mnie tak dobrze jeździć z tobą. Nie wiem dlaczego mamusia mi nie daje?

— Juścić, bo to nie pasuje.

— Dla czego, Witku?

— Bo paninka je dziedzicowa córka, a jo se żruboki pase.

— No to co? Kiedy ja wolę z tobą jeździć, niż się uczyć głupich rozmówek.

— Ja ta nie wim co, ino to, ze paninka je ślachecko, a jo chłopski.

— Madam mówiła, że przecież to wszystko jedno.

— Jedno to pewnikiem i nie jest, bo ślachta ma grontu więcyk, kiej chłopy i ucone są, i ubier mają insy, i całkiem inacyk zyją.

— Witek, a czemu ciebie twoja mama nie posłała do szkoły?

— A bo matula pinindzy ni mają i bez to głupim chłopem ostanę.

— A jakbyś miał pieniądze, Witku?

— Jakbym miał, paninko, tobym się wsyćkiego, co się ślachta ucy, naucył, ubier se sprawił ślachetny, grontubym kupił od Kłęba, abo i od Gulbosa, jakby chwaciło, kunie miołbym, krowy miołbym i taki gospodoz byłbym, coby me gromada obrała na pana wójta, i kiedyby było potrza, to baldach niósłbym se w kościele nad dobrodziejem — i uśmiechał się słodko.

— Ta madam, to mi każe zawsze siodłać kuca Władkowego, a on tak lizie, lizie jak cielę — co, nie prawda, Witek?

— Juścić, ze prowda, paninko.

— Jak już dorosnę, to będę jeździć tatkowymi końmi — co, nie prawda, Witek?

— Hale! ogiery, paninka nie poradzi.

— To ty będziesz jeździć ze mną — co, nie prawda Witek?

— Juści, że tak może być, ino formanem ostane.

— Ubierzemy konie po krakowsku, ze wstążkami i tym nowym tatusia brekiem będziemy jeździć, a tak prędko, prędko — co, nie prawda Witek?

— Prawda, paninko.

— Witek, a gdzie moja książka?

— A jo wim! Cy to ta sama, co z obrazikami?

— Nie, nie ta. To jest gramatyka francuska. Wzięłam ją do parku, żeby się lekcyi nauczyć. Mój Boże, gdzie ja ją podziałam. Och jakby się mama gniewała. Jedź prędzej, może tam została, gdzie przechodziłam przez parkan.

Dojechali galopem, zsunęła się na ziemię i zaraz prawie ją znalazła, tylko że książka leżała rozpłaszczona, stratowana przez źrebca; oglądała ją ze strachem, wycierała sukienką, ale naprózno.

— Podsadź mnie.

Witek się nachylił, skoczyła mu na ramiona i dosięgnąwszy szczytu parkanu, wciągnęła się na wierzch, zeskoczyła zaraz na drugą stronę i znikła w parku.

Witek pojechał, rozglądając się markotnie za źrebakami.

Ona zaś otworzyła książkę i śpiesznie, głośno zaczęła recytować lekcyę. „J'aime, il aime. Tu aimes, vous aimez. Nous aimons, ils aiment,“ powtarzała, uporczywie wbijając sobie w pamięć, że nawet nie słyszała wołania.

(D. n.).

gnieździe i opiekuje się swem potomstwem. Przywiązanie wzajemne dwu płci oraz miłość rodziców dla potomstwa znana jest u większości wyższych ssaków. Lew nie opuszcza przez bardzo długi czas swej połowicy. Cuvier opisuje, że w ogrodzie botanicznym w Paryżu zakończyła życie małpeczka złota (Hapale jacchus); pozostały małżonek był niepocieszony po stracie swej towarzyszki, przestał jeść i wkrótce zdechł. W dziełach Brehma i innych znawców obyczajów zwierząt napotkać można setki podobnych przykładów.

Pomiędzy gatunkami najwyższych ssaków, a mianowicie czwororękiemi, znajdujemy znaczny stopień wzajemnego przywiązania u płci; małpy antropomorfne żyją po największej części w monogamii, a miłość rodziców dla dzieci jest tu bardzo silna. U goryla samiec broni swej połowicy oraz dzieci z narażeniem własnego życia.

Łączenie się dwóch płci na długi okres czasu występuje więc na najwyższych szczeblach świata zwierzęcego. Czy więc mamy prawo przypuszczać, że u najodleglejszych przedstawicieli rodzaju człowieka, dalekich od wszelkiej kultury, te potężne instynkty zanikły zupełnie. Ze stanowiska teoryi ewolucyi przypuszczenie to jest najzupełniej nieuzasadnione i nieprawdopodobne, a wbrew teoryi Morgana przyznać musimy z tego względu słuszność poglądowi Westermarcka, iż „najprawdopodobniej monogamia była wyłączną prawie postacią pożycia płci u najstarszych przodków ludzkich“ *).

H. T. R.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Giovanni Verga. — Trebla: „Perdizione.“ — Ksiądz Giacomo Zanella.

Flaubert kładzie w usta swej Chimery następujące życzenia: „Szukam nowych zapachów, pyszniejszych kwiatów, rozkoszy niewypróbowanych.“ Jest to cel każdego artysty. Verga szukał go z początku w świecie i w półświatku. Jego bohaterowie puszczają wodze swym namiętnościom, nie dbając o urwiska. Są między nimi tacy, co robią rewolucyę nowym ubiorem, zasłaniają sobą Brummela, który miał impertynencyę dorobkowicza, gdy oni mają grzeczność wielkich panów, która jest dopiero prawdziwą impertynencyą. Mogą oni powtórzyć słowa ateńczyka do spartyaty: „Szanujcie moje wady, gdyż one są wyższe od cnót waszych.“ Nic dziwnego, iż artysta pomieszcza swe sny w atmosferze zbytku i elegancyi — gdy ta zapewnia osobie ludzkiej większe przestwory dla wszechstronnego rozwoju i niezależności duchowej. Dla psychologa przesądy demokratyczne są tylko przesądami — a tyrania obyczaju, opinii nigdzie nie jest tak brutalną i dolegającą, jak w warstwach niższych. Każdy jest tu stróżem więziennym swych bliźnich, zaglądającym im do duszy, sądzącym ich i — co główniejsza — głęboko przekonanym o świętości swej misyi. Jest to jakieś wzajemne pętanie się i zatruwanie sobie życia. W mieszczaństwie mniej więcej zamożnem i inteligentnem stosunki te się nie zmieniają — stąd każda jednostka niezależna czuje się śród bliźnich, często ludzi najlepszych, jakby w cuchnącem, dusznem więzieniu. Jest to tragizm, z którego niema prawie wyjścia, mnoży on coraz bardziej zastępy samotników, „einsame Menschen,“ głównie śród marzycieli i artystów. Nic dziwnego, że oni chciwie spoglądają na skrawek nieba śród mroków, na świat i półświatek, gdzie jak za czasów greckiego heteryzmu, jednostka ludzka jest mniej więcej wolniejszą od uświęconych przesądów tłumu, ukształconych kwakrów, szarlatanów i dobroczyńców ludzkości. Wprawdzie ta większa niezależność zdobyta bywa często drogą ustępstw plugawych i bądź co bądź przez warstwy nie tylko bezużyteczne, ale wprost szkodliwe dla społeczeństwa. Chwilowo wszakże spuszczamy z uwagi ten ostatni punkt widzenia i stoimy często na gruncie psychologa, który bada o ile różne ramy społeczne pozostawiają mniej lub więcej przestworu dla rozwoju indywidualizmu ludzkiego, bez względu na dobro ogółu.

Badanie to jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, gdyż ono tylko może dać wskazówki i wzory pożycia ludzkiego, któreby mniej ciążyło na jednostce, niż obecne. W imieniu przesądów i narowów, zwykle nieskontrolowanych, gniecie ono nas i zmusza wszystkich przechodzić pod swem jarzmem — przechodzimy pokornie, nie śmiejąc się skarżyć, ani nawet spojrzeć na krwawe rany, zadawane w ten sposób. Przy nieszczęsnym obecnie stanie psychologii praca ta może przypaść w udziale tylko powieściopisarzom. Wymaga ona wszakże dobrych znawców sfer odnośnych, a zarazem głębokich psychologów, którzy byliby w stanie się oderwać i od oburzenia cnót drobnomieszczańskich i od lokajskich zachwytów. Verga niema potrzebnych po temu danych. Jego „Eva,“ „Eros,“ „Tigre reale“ wcale sobie zadań psychologicznych nie stawiają, lecz malują świat dość konwencyonalny, w którym hrabiny ruskie zawiązują intrygi ze studentami florentyńskimi w sposób przypominający operetkę. Autor pociągnięty został do tych sfer — wątpić można, czy je maluje z natury tylko przez zamiłowanie elegancyi.

Wkrótce też opuścił te dziedziny i zajął się przedstawieniem światów daleko lepiej mu znanych: chłopstwa i drobnomieszczaństwa. Wszystkie jego opowiadania odbywają się w Sycylii, w rozkosznych wioskach, na brzegu morskim. Jego bohaterowie, rybacy o spalonej słońcem skórze, mieszkają w pochylonych chałupach i pędzą żywot w bezustannej walce z morzem. Jest tam masa dziatwy, która się roi w tym kraju, jak gdyby nędza była dobrym nawozem. Od czasu do czasu tyfus, cholera, gorączki, burze sprawiają spustoszenie w tych masach; wkrótce jednak próżnie się zapełniają i brzeg się roi po dawnemu, nie wiadomo jak i dlaczego. Dramaty, odbywające się w tem otoczeniu, nie są zbyt złożone. Zły połów ryb lub skąpy zbiór oliwek, szkody sprawione deszczem lub strata krowy — wystarczają dla zaburzenia życia całej rodziny. Namiętności są tu nadzwyczaj uproszczone. Zazdrość, gdy rozdziera serce, kończy się niechybnie pchnięciem noża, a miłość występuje w swej prostocie aktu naturalnego. Taką jest treść jego „Vita dei Campi“ i mnóstwa innych utworów.

Najbardziej wybitnym pośród nich jest powieść „Malavoglia,“ epopeja rodziny chłopskiej tego nazwiska, a zarazem pierwszy obraz z seryi „Zwyciężonych,“ których Verga przedstawia. Autor bada tu, jak „według wszelkiego prawdopodobieństwa powinny się rodzić i rozwijać w najniższych warunkach pierwsze niepokoje o dobrobyt; jakie zaburzenia powinny wprowadzać nieznane żądze, chęć większego dostatku i szczęścia w drobną rodzinę, dotychczas zadowoloną.“

Rodzina „Malovoglia“ składa się z dziada (Ntoni), jego syna, Bastianazzo, ożenionego z Maruzzą, i ich dzieci: dwu chłopców (Ntoni i Luca) i dwóch córek (Mena i Lia), Ntoni służy w wojsku, Menę mają wydać za mąż, trzeba wszakże zebrać dla niej posag. W tym celu rodzice pożyczają u lichwiarza pięćset franków, zakupują towar, w celach spekulacyi, ale ten ginie podczas przeprawy morskiej. Rodzina jest zrujnowana. Lichwiarz zabiera dom i dobytek. Ostatnie grosze powoli znikają, cholera zabiera Marazzę, młody Ntoni po powrocie z wojska, znużony bezowocną pracą, która wyżywienia nie daje, puszcza się w świat. Rodzina traci główną swą podporę. Mena nie opuszcza igły, ale chleba często brak. Ntoni powraca ze swej wyprawy, bez fortuny, zepsuty, leniwy, pijak. Spędza czas w karczmie, jest kontrabandzistą i ostatecznie dostaje się pod sąd, zraniwszy brygadyera, który mu uwiódł młodszą siostrę, Lię. Dziad Ntoni od tych ciosów moralnych umiera. Bastianazzo kończy marny żywot w szpitalu. Jest to obraz społeczny wielkiej wagi, jako ilustracya nędzy włoskiej i zaburzeń sycylijskich.

Verga jest jednym z głównych przedstawicieli *verismu* włoskiego; dobry malarz obszernych fresków, gdy drobne miniatury psychologiczne są mu niedostępne. Powyższy plan przedstawienia życia w pełnym jego naturalizmie uskutecznia on i w innych swych dziełach. Najlepiej wszakże mu się udają istoty proste, pomieszczone śród rozkosznej natury włoskiej, którą rozumie i pięknie maluje.

Ostatnia powieść Vergi „Don Calendoro e C-ia“ (1894) jest ładnym obrazkiem rodzajowym. Don Calendoro — to artysta pokazujący maryonetki; rzemiosło to, czysto włoskie, przechodziło z ojca na syna w ciągu kilku pokoleń. Don Calendoro ilustruje zapomocą lalek i głosu opowieści rycerskie Okrągłego stołu i Rolanda. A jak głos jego nadawał się do tej pracy, stając się po kolei patetycznym, czułym, wzniosłym, śmiesznym! Ale obecnie moda się zmieniła: publiczność smakuje bardziej w podkasanych szansonetkach z koncertów ogródkowych i nasz artysta pozostał bez chleba.

Młody powieściopisarz Trebla odrazu zdobył sobie imię powieścią „Perdizione.“ Bohaterem jest tu doktor Gabriel Pietrarca, spoglądający na miłość jako na zwykły wypadek codzienny w życiu ludzkiem — jako na rozrywkę. Napotkał wszelako kobietę, żonę inżyniera Morasa, Robertę, która kazała mu zmienić pod tym względem przekonania. Czuła i namiętna, kocha po raz pierwszy i ostatni: jest dumna ze swego „upadku.“ Doktor, czując, iż namiętność może zabić w nim zamiłowanie do nauki, stara się zerwać te pęta: nie przybywa na schadzki, nie rozpieczętowywa listów miłosnych. Roberta umiera, okrutnik przechodzi wszystkie męczarnie zgryzot sumienia i, tak wyrzucony z równowagi, zaczyna wątpić, aby nauka mogła dostarczyć człowiekowi szczęścia. Z wahań tych wychodzi wszakże zwycięsko. We wstępnej lekcyi kursu o „Jadach ludzkości,“ mówi on studentom co następuje jasnym, pewnym siebie głosem:

„Panowie, w człowieku wytwarzają się wciąż jady dwojakie: ciała i duszy, pierwsze wywołują nieporządki fizyczne znane pod nazwą choroby, drugie — nieporządki duchowe, które teologowie nazywają grzechem. Działanie obu jest jednakowo niszczące, i organizmy słabe, dusze nieprzystosowane do życia, nie są w stanie zwalczyć ich, powoli się rozstrajają i umierają.“ Roberta powinna była umrzeć, aby dać możność ludziom nauki, jak Gabryel, rozwijać się i tryumfować. Znajomość duszy głęboka — forma wytworna.

---

*) Wyznajemy, że nas to wcale nie przekonywa. Świat zwierzęcy nie jest tak porządnie ustopniowany, ażeby związki doskonalsze odpowiadały organizmom doskonalszym i stanowiły wraz z nimi prawidłową drabinę rozwojową. Mrówki lub pszczoły tworzą znakomicie urządzone społeczeństwa, a jednak są biologicznie niższe od zajęców lub kukawek. W tego rodzaju wywodach bardziej trzeba kierować się faktami, niż logiką. *Red.*

Trebla opracowywa tu ten sam typ naukowego Don Juana, który posłużył Bourgetowi za przedmiot studyów w „Uczniu.“ Don Juan nie zwraca uwagi na łzy przelane i na serca pęknięte. Ale nieraz posąg Komandora tryumfuje z jego próżnej filozofii. Ten odwet wciela się w formy najrozmaitsze. Często namiętność w despotyzmie zwraca się przeciw D. Juanowi: gdy kobieta, którą zranił, cała skrwawiona jeszcze, mści się, trując mu serce jadem zazdrości; ona zabija w nim zwątpienie tym samym orężem, którego przeciw niej użyto. Często także tym posągiem jest kobieta, której D. Juan, jak mu się zdaje, nie kocha, którą zabija swym śmiechem lub zdradą, którą chciałby pogrzebać w całunie zapomnienia, ale ona wynurza się wciąż z morza wyobraźni w swej martwej bladości. U pisarza włoskiego D. Juan wychodzi bezkarnie. Bourget bierze za bohaterkę pannę, Trebla — kobietę zamężną. Ale on nie lubi wprowadzać pochodni w cienie przeszłości...

Fogazzaro pomieścił w „Nuova Antologia“ (T. XXI) artykuł o J. Zunelli, znanym poecie — który umarł przed pięciu laty — z powodu pomnika wystawionego w tych czasach wieszczowi. Jego sława za życia wahała się śród sądów krańcowo sprzecznych. Póki nie wychodziła za granice ojczyzny, uważano, iż jest niższą od zasług; następnie, gdy się rozszerzyła po świecie, twierdzono, iż je przekracza. Gdy umarł z nadmiernej pracy, żale polały się ze wszystkich stron. Był to człowiek prawy, miękki, dla wszystkich dostępny, wciąż otoczony gronem uczniów i wielbicieli. Sława jego, jako poety i literata, zawsze była wyższą w żywych tłumach, niż w ocenach krytyki zawodowej. Czystą swą i religijną poezyą zdobył sobie wielu przyjaciół śród tych czytelników, którzy bardziej zwracają uwagę na uczucia i przekonania poety, niż na jego sztukę, mianowicie śród młodzieży, zwłaszcza niewieścicj, łatwo poddającej się entuzyazmom.

Pierwszy zbiór jego poezyi miał osiem wydań, jakkolwiek zdania krytyki mocno były podzielone i bardzo często nawet nieprzychylne. Niezależnie od tego masa chętnie czytała tę poezyę dzięki czułości, natchnieniu i głębokiej religijności autora. Wytworna w formie, czyni wrażenie pięknej kobiety, modlącej się w kościele i tak zatopionej w sobie, iż nie zwraca uwagi na swe stroje. Retoryka tych pieśni, rażąca dla cudzoziemców, jest dla włochów zupełnie naturalną.

Mniej udatną jest poezya polityczna Zanelli, gdzie wyraża swe przekonania głęboko patryotyczne i liberalne. Był zawsze zwolennikiem związku pomiędzy Włochami a Francyą. Słynne są w tej mierze jego oda na „Suez,“ a także „Gli Ossari di Solferino,“ „La Guerra del 1870“ i inne. Wszystkie zresztą chorują na retoryczność.

Pracą najbardziej znaną i uznaną Zanelli jest zbiór poezyi, noszący tytuł „Astichello“ — rzeczki, gdzie autor już siedemdziesięcioletnim starcem pisał te sonety. Poeta zbudował sobie willę zdala od miasta, w ciszy wiejskiej, w ustroniu, któregoby mu pozazdrościł Horacyusz. Jest to cały szereg dumań uśmiechniętych i pogodnych. Odbija się tu, jak w zwierciadle, duży kawał życia poety, myśli i uczucia duszy szlachetnej, znużonej i zasmuconej życiem. Szczere niegdyś zachwyty nad postępem i cywilizacyą zamieniły się na gorzkie rozczarowanie. Jedyną osłodę tych smutków stanowi samotność, miłość przyrody prostego człowieka i nadzieje życia pozagrobowego. Większość tych pieśni zawiera pierwszorzędne zalety poetyczne, szczerość uczucia, głębokie myśli i wspaniałe opisy, a prawie wszystkie są pod względem formy i stylu artystyczne. Oto przykład sonetu:

„Opuszczam próg w chwili, gdy pierwsze ognie jutrzenki opromieniają szczyty gór, gdy skowronek we wdzięcznych pieniach unosi się nad wołem, który dymi (?) pośród brózd. Słońce ukośne, grzejąc mi skroń, wznosi się coraz wyżej nad przebudzoną ziemią i rzuca coraz dalej poza krzaki i rzekę olbrzymi cień, który mi towarzyszy. Uśmiecham się, spoglądając na długość niezmierną chudych mych nóg, wówczas gdy ma głowa zanurza się tajemniczo śród gałęzi i traw wysokich... Tak błądzi często umysł ludzki, sądząc, iż objął zbyt wielkie przestrzenie.“

Dodajmy, iż Zanella zdobył sobie uznanie, jako tłomacz Longfellowa na język włoski, a także, jako krytyk estetyczny. Jego styl jest pełen elegancyi, a sąd wytrawny. Najważniejszą jego pracą w tej dziedzinie jest monografia o Palladio. Słynny architekt jest tu oceniony z wielką znajomością rzeczy. Zanella pokazuje, iż człowiek ten, nazbyt może chwalony za życia, niesłusznie oczerniany za dni naszych, był tylko naśladowcą rzymian — i niczem innem być nie chciał.

L. W.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Dr. M. Flaum przełożył a księgarnia Paprockiego wydała *Chemię* (organiczną i nieorganiczną) dr. S. Zeisla. Jest to dzieło obszerne (789 str.), wyilustrowane bardzo obficie nietylko wizerunkami przyrządów, ale także portretami znakomitych badaczów. Nie do nas należy ocena specyalna tej książki, zdaje się nam jednak, że zajmie ona śród podręczników polskich tego przedmiotu miejsce pierwszorzędne.

— P. J. Neufeld wydał (w odbitce z *Gazety lekarskiej*) rozprawę swoją o *Parnikach odkażających*. Autor podaje również opis i rysunek własnego przyrządu dezinfekcyjnego.

— Dr. S. Sterling, bardzo czynny w przyswajaniu literaturze naszej książeczek popularnych z zakresu medycyny i hygieny, wydał (nakładem księgarni Kolińskiego) w przekładzie *Zabiegi hygieniczne przy chorobach zakaźnych* (str. 64) dr. Nuttala.

— Wielce pouczającą książką dla rodziców jest *Mamka* dr. C. Millera w przekładzie dr. L. Wolberga (str. 102, Paprocki), gdzie znaleźć można rady i wskazówki dotyczące żywienia niemowląt.

— Dr. S. Bulikowski w broszurze *O wyborze miejscowości klimatycznych a w szczególności o Gleichenbergu* wykłada różnice rozmaitych uzdrowisk i potrzeby chorych piersiowych.

— Prof. J. F. Sikorski w *Sprawozdaniu z prac laboratoryjnych i doświadczeń polowych* (odbitka z *Rolnika i Hodowcy*) przedstawia wynik doświadczeń z koniczyną czerwoną, fascyacyą buraków nasiennych, mówi o ochronie buraków przed zarazą, o nowej metodzie niszczenia śnieci u zbóż, o moczeniu ziarna siewnego w nafcie i nawozach pomocniczych.

— Wielce ciekawego dzieła *Królestwo zwierząt* według Brehma wyszedł zeszyt VII.

— Księgarnia J. Bazewicza rozpoczęła wydanie *Prac ludowych* J. Grajnerta. Pierwszy zeszyt (kop. 12) zawiera trzy powiastki.

— *Bibliografii polskiej* K. Estreichera (wiek XV do XVIII) wyszły zeszyty 3 i 4 tomu XIII.

— Księgarnia T. Paprockiego wydała opis podróży O. Lenza *Do wybrzeży Azyi wschodniej* (str. 136) w przekładzie S. Stetkiewicza.

— *Wiestnik Jewropy* w zeszycie styczniowym zamieścił przekłady z poetów polskich: Asnyka, Krasińskiego, Lenartowicza („Kalina“) i Gomulickiego.

Birż. Wied. drukują Gawalewicza „Sylwetki żon.“

— Staraniem Maticy słoweńskiej, wyszła powieść Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“ po słoweńsku. Jest to wydawnictwo w dużym formacie bardzo staranne, ozdobne, ilustrowane (kilkaset rysunków i mnóstwo pięknych winiet) przez Emila Zillicha.

— *Warsz. Dniew.* pisze: „P. Dragomirecki otrzymał koncesyę na wydawanie w Petersburgu pod jego redakcyą dziennika *Galicko-ruskij wiestnik*, poświęconego zapoznawaniu z wydarzeniami Rusi podkarpackiej, z bytem ruskich galicyan i innych narodów słowiańskich.“

— Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych, wydawnictwo gazety *Jug* zawieszono na osiem miesięcy.

— Zarząd miejski Wenecyi postanowił urządzać stale co dwa lata wystawy sztuk pięknych w swojem mieście. Pierwsza odbędzie się w kwietniu r. 1895. Wystawy będą miały charakter międzynarodowy.

— *Praw. Wiest.* donosi, iż złożone w darze rządowi ruskiemu przez kedywa sarkofagi i inne starożytności egipskie, znalezione w okolicach Teb, z Najwyższego rozporządzenia przeznaczone zostały do muzeów uniwersyteckich w państwie, a między innemi i do uniwersytetu warszawskiego.

— Profesor rysunku w Budapeszcie, Nemes, odnalazł na ścianach kościoła reformowanego w Maros-Szentkiraly pod powłoką tynku malowidła, wyobrażające apostołów, czterech ewangelistów, św. Apolonię i królów węgierskich; między innymi jest podobizna króla Stefana (zdaje się jedyna).

— Wyszła praca p. A. Śniegockiego p. t. „Hodowla nasion i roślin pastewnych.“

— W Paryżu odbyło się pierwsze ogólne zebranie powstałego przed rokiem Towarzystwa powieściopisarzów. Komitet, złożony z Zoli, Aicarda, Descavesa, Alexisa i Richebourga, polecił swojemu doradcy prawnemu sporządzenie tekstu konwencyi, dotyczącej przekładów. Upoważniony przez Towarzystwo komitet wkrótce zajmie się założeniem agencyi, której zadaniem będzie tłomaczenie tudzież sprzedawanie pismom zagranicznym utworów swoich członków.

— Nakładem firmy księgarskiej Józefa Zawadzkiego w Wilnie wkrótce wyjdzie album widoków ważniejszych budowli i ulic tego miasta, wykonanych sposobem fotograficznym.

— Rodzina Macaulaya oddała jednemu z wydawców rękopis dziennika znakomitego historyka. Dotychczas z rzeczy tej znane były tylko wyjątki, które biograf Macaulaya, Jerzy Travelyan, zużytkował w dziele p. t. „Życie i listy lorda Macaulaya.“

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Anglii.

II.

W prasie angielskiej panuje bardzo dobry zwyczaj, którym publiczność czytająca uwalnia od kłopotu piszących w wyborze tematu. Podczas kiedy naprzykład u nas społeczeństwo całe musi się stosować do książek, zalegających w danej chwili stoły piszących i kompilujących literatów, w Anglii sam ogół czytający narzuca prasie przedmiot dla rozpraw. Zasada „ludowładztwa“ wynika tu nie z ustawy, ale ze zwyczaju pisania „listów do wydawcy.“ Czytelnik udaje się za pośrednictwem niego do ogółu, przedstawia mu swe spostrzeżenia, swe obawy, swe udręczenia i żąda rady, pomocy, wskazówek. W pierwocinach kultury były wiece, zgromadzenia, których bezustannemu zwoływaniu nic nie stało na przeszkodzie, ale w naszych społecznościach nie ma ani prostoty zagadnień, ani łatwości porozumienia się. To też godnem uwagi jest, że w kraju osławionego indywidualizmu, w kraju samopomocy, za jaki poczytują Anglię, dziennikarstwo wyszukało dla jednostki możność porozumienia się z ogółem, postawienia dręczącej jednostkę kwestyi na porządek dzienny.

Alež — zawoła nasz czytelnik — zwyczaj taki nadaje każdemu osłowi prawo, które u nas posiada tylko literat, bądź co bądź, człowiek wykształcony, specyalista! Nie ma obawy co do osłów, których zresztą w Anglii nie jest więcej, niż u nas. Przeciwnie, podczas kiedy u nas wydawca zmuszony jest objaśniać czytelników, jaki podręcznik kupić i co odpowiedzieć komornikowi sądowemu, w Anglii publiczność szuka sama informacyi w katalogach,

słownikach, księgach podręcznych, a do wydawcy udaje się nie jako do biura informacyjnego, ale jako do pośrednika między jednostką a ogółem.

Jasnem jest, że nie każdy ma talent być obywatelem; dzisiejsze życie społeczne wywiera nawet bardzo ujemny wpływ na rozwój świadomości i uczuć obywatelskich. To też nie wszystkie „listy do wydawcy“ stanowią wymianę myśli między obywatelami kraju. Dosyć wszakże powiedzieć, że najważniejsze i najżywotniejsze zagadnienia przechodzą tu przez „peryod listowy.“ Każdy pisze, jak umie, ale też każdy stara się o sumienność i dokładność w wyrażeniu swego zdania. Każdy jest sumiennym, bo mu chodzi o możliwe wyczerpanie kwestyi, bo w liście swym widzi oręż niezbędny dla społecznego życia, mianowicie: wypowiedzenie i porozumienie się. To też zbiór takich listów stanowi nieraz „dokument społeczny.“ Przytoczę sprawę armii zbawienia; listy Huxleya w tym przedmiocie są pomnikiem społecznej wagi, bo stanowią świadectwo zapatrywania się *całej klasy* na stosunek spraw społecznych do religii.

„Listy do wydawcy“ wpłynęły też niezmiernie na literaturę w „sprawie kobiecej.“ Półtora roku temu rozpoczęła się w pismach codziennych korespondencya ojców i matek, mających córki na wydaniu i niemogących ich „umieścić.“ I u nas nie brak takich ojców i takich matek, narzekających na zmniejszenie się widoków matrymonialnych. Różnimy się tylko z angielkami co do sposobu rozwiązania zagadnienia. Pod naszą strzechą cnotliwego ogniska rodzinnego tacy stroskani rodzice wyczekują tylko odejścia gości, aby wyrzutami swymi gnębić nieszczęśliwą córkę, aby cynizmem tych wyrzutów wyciskać łzy wstydu i rozpaczy niewinnej dziewczynie. Ale my nie jesteśmy egoistami; ciągle się poświęcamy.

Samolub anglik, nie mający serca wykrajanego na naszą modłę, widzi w swej córce ofiarę stosunków społecznych. Rozwój cywilizacyi wyrodził w nim poszanowanie godności ludzkiej, i żaden „przyzwoity“ rodzic angielski nie będzie rumienił swej córki za to, że jeszcze nie ma męża. I cóż ona winna temu? mówi praktyczny John Bull: to nie jest tylko jej sprawa, to sprawa społeczna. Z synami, rozumuje dalej tutejszy obywatel, nie mam kłopotu: wysyłam ich do Australii, do Indyj, do Afryki, do Ugandy itd.; kraj cały walczył i pracował nad tem, aby znaleźć pole odbytu i dla moich towarów i dla moich synów. Teraz kolej pomyśleć o dziewczętach. Jasna rzecz, że przystojna i zdolna oraz pracowita dziewczyna, nie mogąca znaleźć męża, jest anomalią w społeczeństwie. „Źle się dzieje“ w sferze naszych urządzeń rodzinnych. Rozumując zapewne w ten sposób, jeden z ojców, mających „dziesięć cór na wydaniu,“ zasiadł do pisania „listu do wydawcy.“ Była to kwestya ważna, bo wszystkie dzienniki napełniły się głosami w tej sprawie, którą podchwyciły tygodniki, miesięczniki — nawet kwartalniki. Po luźnych uwagach nastąpiły bardziej poważne opracowania, całe studya. Okazało się, że kwestya córek na wydaniu związana jest z całym szeregiem najpoważniejszych zagadnień społecznych. Dzieła i rozprawy, poświęcone jej, porzuciły dawne stanowisko frazesu o równości; rodzina, stosunek płci, macierzyństwo itd. zajęły miejsce kwiecistych, ale przeżytych deklamacyj. Zajęto się sprawą kobiet „u góry“ i kobiet „u dołu,“ to jest pracujących i chcących pracować oraz stanowczo skazanych na próżniactwo. Zajęto się stosunkiem dorosłej córki do matki, tak zwanym „rokoszem córek,“ na co dziesiątki matek wystąpiły w swej obronie, przekonywając publiczność, że na miejscu byłby raczej „rokosz matek.“ Słowem, ruch kobiecy dzięki tym listom stał się wszechstronnym i dziś znalazł on swój wyraz w pojęciu „kobieta współczesna.“

Rzeczywiście, pojęcie „prawo kobiece“ jest zanadto oderwane, tak samo, jak naprzykład prawo pracy. Wszelkie zaś oderwane formułki oddają usługi, póki trzeba siać myśli, aby z posiewu wyrastali ludzie czynu. Gdy pewne pojęcie braku lub zła już znalazło ucieleśnienie w skarżących się i żyjących jednostkach, czas porzucić ten punkt wyjścia i raczej badać, co zrodzony przez ideę szermierz zdziałać *może*, jakie są jego potrzeby, dążności i siły. Z tego względu „kobieta współczesna“ jest już urzeczywistnionym, materyalnym wytworem dawnej abstrakcyi „prawa.“ Nie jest to dawna sprawa kobieca, ale już żyjąca sprawa w spódnicy i z orężem w ręku, prawdziwa żyjąca kobieta, świadoma swego położenia, mająca różne dążności i walcząca o swój byt. Widząc ją żywą i bojującą, możemy też ocenić jej siły, przepowiedzieć, co dziś wywalczy. A wobec tego, że wszelka rzeczywistość, należycie zrozumiana, wytwarza w mózgach naszych widoki swego dalszego rozwoju, możemy także przewidywać następne fazy rozwoju kobiety współczesnej.

Jedni nazywają ją dziś współczesną amazonką, inni żółtą astrą, jeszcze inni chcą uchwycić w niej tylko jedną chwilę: walki, upadku lub zwycięztwa, słabości lub siły. Co dzień prawie zjawia się tu obraz większych lub mniejszych rozmiarów tej współczesnej kobiety (modern woman). Są powieści, powiastki, studya, szkice, poważne badania — wszystko poświęcone tej amazonce dnia dzisiejszego, w pełnej zbroi, napastującej gmach społeczny. Nie moją rzeczą jest oceniać te dążenia i przewidywać ich rozwiązanie. Jako sprawozdawca, chciałbym tylko narysować tę postać walczącą, która zajęła książki pisma, mównicę i ulicę.

Alcż bo i kobieta tutejsza to szermierz nielada. Jest typ wstecznicy, kobiety *tory*, która w „lidze pierwiosnków“ (primrose) *) ogranicza się do jawnej roli agitatorki pomocnicy, a pokątnie pracuje dla swej płci. Dalej widzimy emancypantki walczące jawnie i czasami nawet zbyt rozgłośnie, świetne mówczynie, jak pani Fawcet, lady Carlisle, lady Somerset. Rzędem z niemi stają bardziej wszechstronne natury, choć mniej błyskotliwe, które zajmują się głównie kwestyą pracy, stowarzyszeniami zawodowemi, jak lady Dilke, miss Routledge. Jest cały legion sentymentalnych usposobień: polem ich filantropia, oświata i organizacya cierpiących. A obok nich co za dzielny personel skromnych i sumiennych pracownic umysłowych! Właśnie przed kilku dniami ukazała się książka Karola Bootha o „inwalidach pracy,“ dzieło niezwykłej sumienności i pilności; część najbardziej moralną opracowały trzy kobiety: panny Paul, Pearce i Tabor. Cóż dopiero powiedzieć o pani Green, wdowie po historyku, której książka o XV wieku w Anglii jest arcydziełem wiedzy! Wymieniam tu tylko „nowości.“ Wpływ tych kobiet jest tak poważny, że dziś profesor Max Müller żąda otworzenia Oxfordu dla słuchaczek, które nadto mają być uposażone stypendyami. I podczas gdy amazonki zdobywają takie stanowiska, takie twierdze społeczne, jak Oxford, krytyka nie spuszcza ich z oczu. Pani Aubrey Richardson zadała sobie ciekawe pytanie, mianowicie; czy gry ryzykowne będą miały zwolenników w kobietach? Odpowiedź jest sumienna: głównie wśród kobiet daje się spostrzedz wzrost zamiłowania do gier i zakładów, zarówno wśród wykształconych, jak i robotnic fabrycznych. A zatem, dodaje słusznie pani Richardson, z rozwojem praw własnościowych i faktycznej własności (dzięki zarobkom) kobiety nabierają i zamiłowania do gier. Autorka chce znaleźć okoliczność łagodzącą w wychowaniu kobiet, w którem „los“ gra tak wielką rolę. Uwaga pani Richardson jest zupełnie słuszna; nie widzimy wszakże potrzeby szukania usprawiedliwień. Pojęcie „losu“ oddziaływa nietylko w wychowaniu kobiecem; jest ono związane z podstawami naszej gospodarki. Co się zaś tyczy zamiłowania do gier u amazonek dzisiejszych, to obraz tylko traci, gdy z jednej strony dajemy kobiecie broń do ręki, a z drugiej będziemy szukali w niej „das ewig Weibliche.“

*) Pierwiosnek jest kwiatem Disraelego i partyi torysów.

Bezwątpienia w kwestyi tej pozostaje jeszcze dużo niezbadanych elementów, których jednak nie trzeba nazywać wiecznymi. Profesor Pearson naprzykład, należący do tych, którzy oprócz rzeczywistości dzisiejszej chcą uchwycić zarysy przyszłości, podnosi kwestyę macierzyństwa i żąda „narodowego zabezpieczenia kobiet w czasie twórczości macierzyńskiej.“ Innemi słowy, żąda on państwowej pensyi, wypłacanej matkom, aby w ten sposób z macierzyństwa, czynności obywatelskiej, nie tworzyć więzów dla spełniających tę niezbędną społeczeństwu czynność. Nie wchodząc w ocenę projektu Pearsona, widzimy jednak w nim usiłowanie burzenia jednej z owych „wiecznych“ przeszkód, które z kobiety społecznej, rodzicielki robiły społeczną niewolnicę. Myśl Pearsona oddawna już nurtuje tutejsze koła niewieście; nie ulega wątpliwości, że sprawa ta stanie teraz na porządku dziennym.

Powrócimy więc w przyszłości do niej i nieraz jeszcze wypadnie nam mówić o podbojach amazonek angielskich. Dziś chcę nadmienić jedno: angielskie amazonki jeszcze niewiele otrzymały, natomiast dużo już społeczeństwu swemu dały swą pracą. Byłbym ciekawy rezultatu porównania z naszemi „feministkami“; żądały one zawsze dużo, ale co dały?

O polakach na Zachodzie mówią mało, a jeśli mówią, nazywają nas bądź wstecznikami, bądź blagierami. Jednakże blaga kwitnie wszędzie, i my nie mamy monopolu pod tym względem. Co razi zachodowców, to brak produkcyjności w bladze nietylko polskiej, ale wogóle słowiańskiej. Mam na myśli porównanie między Tołstojem a Steadem. Ludzie ci tak różni mają jedno wspólne: blagę mistyczną. Mistycyzm wszakże Tołstoja jest bezpłodnym pomimo wielkiego talentu i może większej szczerości autora. Sienkiewicz dużo rozprawiał o „nieprodukcyjności słowiańskiej“; sądzę, że należy raczej mówić o nieudolności słowiańskiej, która tkwi nie w jednostkach, ale w ogóle, w niedorozwoju społecznym. I myśmy mieli nasz swojski mistycyzm, usiłujący być twórczym, mesyanizm, ale bez rezultatu. Tutejsi mistycy są praktycznymi; są to wstrętni nieraz świętoszkowie — prawda, ale widząc ich przy pracy, mimowoli oddajemy im hołd jako skrzętnym mrówkom, które jednocześnie przewracają oczyma, ale coś robią. Do nich należy pan generał Booth z armii zbawienia, pan naczelnik Trevor z kościoła pracy i pan dziennikarz Humbug, głośny redaktor Stead.

Stead wrócił tylko co z Ameryki, a wyniki społecznych swych spostrzeżeń zebrał w dzielnie napisanej książce p. t. „Gdyby Chrystus zwiedził Chicago.“ Nazywam tę wsteczną książkę dzielną, bo Stead z odwagą policzkuje swą własną klientelę. Policzkuje swych rodaków, głosząc, że i w Londynie Zbawiciel nie doznałby pociechy. Tymczasem zakłada wszędzie stowarzyszenia, mające na celu „postęp społeczny,“ to jest leczenie nędzy za pomocą środków zachowawczych.

Bądź co bądź, Stead jest produkcyjnym, i oto jego zaleta. Czytelnicy, którzy są pochopni do mistycznych „fin de siècle“ skłonności, mogą znaleźć szczegóły w książ-

ce wyżej cytowanej oraz w *Review of Reviews*. Postaramy się wszakże dać obraz tych usiłowań, gdy zdamy sprawę ze wszystkich zjazdów i wieców odbytych w maju. Naszą tymczasową wzmiankę zakończymy jedną uwagą: jest to dowodem wielkiej siły twórczej kraju, w którym i mistycy mogą się szczycić rezultatami praktycznymi. Mistykom angielskim pomagają tradycye historyczne z XVI i XVII stulecia, kiedy wszystkie dążenia społeczne ubierano w sukienki nadziemskie. Dla tego Stead może coś zdziałać i dlatego też wszelkie wiary Tołstojów muszą pozostać czczemi westchnieniami niemocy społecznej.

Wacław Nadolski.

PAMIĘTNIK.

Wyścig.

Skoro już nawet reporterzy, ci najzagorzalsi anglicy, którzy nauczyli się aż 12 wyrazów angielskich, używają *wyścig* zamiast *record* dla oznaczenia gonitwy jeźdźców konnych między Ćmielowem a Warszawą, to i my pozwolimy sobie tem śmielej na użycie brzydkiego słowa. Odbył się tedy w poniedziałek wyścig na przestrzeni 165 wiorst. Podobno miał on być i jest pouczającym co do wytrzymałości konia i człowieka. Pierwszy przybył do mety w Warszawie sztab-rotmistrz Kotlar, przejechawszy całą drogę w 11 godz. 38 m. 40 sek. Za nim w minutę przypędził hr. Jezierski, za nimi reszta, spóźniwszy się o kilka minut lub godzin. Ostatni stawił się o godz. 6 m. 2 s. 45. Biorąc średnią między najprędszym a najwolniejszym z biegów, wypada na 165 wiorst około 12½ godzin. Nie umiemy z tego rezultatu wyciągnąć żadnych wniosków praktycznych, gdyż za wiele wpływało nań warunków wyjątkowych: doskonałe konie, doskonali jeźdźcy, doskonała droga. Ponieważ zaś przy dzisiejszych środkach komunikacyjnych, w których jazda konna dla ogółu zajmuje z pewnością najniższe miejsce, tego rodzaju próby mogą mieć znaczenie tylko dla kawaleryi wojskowej, trudno z dokonanej między Warszawą a Ćmielowem wydobyć jakąś wskazówkę dla marszu, w którym nie biorą przecie udziału ani doskonali jeźdźcy, ani doskonałe konie, ani też nie zawsze on się odbywa po doskonałych drogach. Jeżeli uczestnicy wyścigu przejechali 165 wiorst w przeciągu 12½ godzin, to ile potrzebuje do przebycia tej odległości oddział kawaleryi? Wątpimy, czy na to pytanie zdoła ktokolwiek coś odpowiedzieć. Ażeby doświadczenie mogło być rzeczywiście pouczającem, należałoby użyć do niego zwyczajnych sił i w zwyczajnych warunkach. To też wyścig między Ćmielowem a Warszawą uważamy raczej za zabawkę, niż za eksperyment praktyczny.

Nie-wyścig.

Turniej ćmielowsko - warszawski usunął w cień p. Fr. Reinsteina, śpieszącego do Antwerpii. Według ostatnich doniesień, przebywa on już Saksonię i za dwa tygodnie spodziewa się stanąć na miejscu. I z tej podróży chcielibyśmy wyciągnąć jakiś wniosek, ale, niestety, p. R. nie daje żadnego materyału i zdradza większą siłę w nogach, niż w... obserwacyi. Bo czy może być coś banalniejszego i bezmyślniejszego nad notatki turysty, idącego ciągle prostym gościńcem w oznaczonem tempie? Trudno przecie, ażeby ciekawe widoki lub nadzwyczajne wypadki zabiegały mu drogę. Więc widzi: tu kościół, tam kobietę sadzącą groch, tam zające w zbożu, tam psa zaprzężonego do wozu, tam dom dzikiem winem okryty itd. Że w Niemczech są kościoły, zające, psy, groch i dzikie wino, o tem my oddawna wiemy, a dla przekonania się nie potrzebujemy wcale iść pieszo do Antwerpii. Jedynie zajmującą byłaby bardzo ścisła i szczegółowa obserwacya, dotycząca wytrzymałości organizmu na trudy pochodu, jej wzrost i zmniejszanie się wskutek pewnych przyczyn, wpływ pokarmów i napojów na siły fizyczne, oddziaływanie takiej lub innej odzieży itd. O tem wszystkiem p. R. albo nic nie mówi, albo bardzo mało. Jakiż więc będzie owoc jego długiej podróży? Dowiedzie on nam, że z Warszawy można przejść do Antwerpii w ciągu tylu dni, że w Niemczech kobiety sadzą groch, a restauratorzy dają mdłe potrawy, że sarny są w lasach a zające w zbożu itd. Czy na to nie szkoda czasu i atłasu dziennikarskiego? *W.*

Psychologia masy.

Tyle razy już opisywano pielgrzymki pątników do Częstochowy, a nikt nie zadał sobie trudu odmalowania tego olbrzymiego spływu ludzi i odtworzenia ich duchowego nastroju piórem przedmiotowem. Tę szczęśliwą myśl podjęła *Gazeta polska*, której wysłannik zamieścił szereg szkiców, zdjętych z natury podczas ostatniego odpustu. Nie jest to jeszcze obraz pełny, ale raczej wiązka notatek, zaznaczanych w tej kolei, jak się nasuwały wrażenia i widoki, ale już w nich dostrzedz można wiele rysów ciekawych i pochwyconych umiejętnie. Nie należałoby poprzestać na tej próbie. Kilkadziesiąt, a bywało i po kilkaset tysięcy osób najrozmaitszego pochodzenia, wieku, skali umysłowej, stanowiska społecznego, zmieszanych razem i stopionych w jedną masę uczuciem wiary, podnieconych, wprowadzonych w ekstazę — zasługuje na zbadanie i przedstawienie. Psychologia tej ogromnej masy byłaby czemś daleko bardziej zajmującem, niż stereotypowe opisy rozmaitych „recordów.“ Rozumie się nie chodzi nam tu o reporterskie: „jesteśmy na stanowisku — gentlemeni wyruszają boso pod imprezą doświadczonego Gwizdały — jemy śniadanie — śpiewamy „Kto się w opiekę“ — jemy obiad — jeden z gentlemanów wrócił się po zgubione buty“ itd., ale o spojrzenie w głębię duszy ludzkiej, duszy masowej.

Prawa autorskie.

Po przeczytaniu wydanej przed 20 laty książki p. Spasowicza o tym przedmiocie, wiedzieliśmy, czego chciał Proudhon, J. Simon, Frybes, wreszcie ustawa prasowa w Rosyi, ale czego chce autor, trudno było zgadnąć. Z ogólnikowych napomknień i uwag krytycznych wnosiłeś tylko, że tego lub owego poglądu nie podziela, a ten lub ów przepis chciałby usunąć. Rozwiniętego planu uporządkowania praw autorskich p. S. wówczas nie przedstawił. Widocznie chciał to uczynić obecnie w wykładzie, którego słuchaczami byli członkowie Towarzystwa artystycznego w Petersburgu. Streszczenie tego wykładu podaje *Żizń*. P. S. radby skrócić termin własności autora do lat 30 po jego śmierci. W dalszym ciągu wskazuje rozmaite wypadki, w których prawo to należałoby uważać za naruszone. Pomijamy inne a zatrzymamy się nad kwestyą dla nas najważniejszą — nad kwestyą przekładów. W dawniejszej swej pracy p. S. wyraził się niecoś po delficku. „Rosya — powiada on — więcej traci na traktatach (literackich), aniżeli zyskuje, bo większą usługę wyświadcza zachodnim mocarstwom europejskim, z któremi zawiera układy, aniżeli ta, jaką otrzymuje od swych kontrahentów... Społeczeństwu ruskiemu chodzi przedewszystkiem o to, aby pod pozorem traktatów, osnutych niby na zasadzie wzajemności, nie ścieśniały się i nie zmniejszały drogi i sposoby szybkiego zaznajamiania się z produktami myśli i twórczości narodów Europy zachodniej.“ W innem miejscu: „Bardzo znaczna wolność, dana tłomaczeniom, sprawiła to, że w Rosyi rozwinęła się i rozkwitła niezmiernie bogata i rozmaita literatura przekładowa, której pozazdrościć mogą inne, najbardziej ucywilizowane kraje.“ Zdawałoby się, że p. Sp. jest zwolennikiem zupełnej swobody przekładów. Tymczasem według *Żizni* zaleca on teraz, ażeby autorowi zachowano wyłączne prawo przekładu swej pracy przez lat 10 od chwili wydania oryginału. Ponieważ przywilej ten musiałby być oparty na zasadach wzajemności względem wydawców i autorów zagranicznych, ponieważ ogarnąłby on wszystkie języki w państwie, ponieważ wreszcie nie stačby nas było na wysokie honorarya, więc gdyby żądanie p. Sp. spełniło się, przez pierwszych lat 10 nie moglibyśmy tłomaczyć i wydawać żadnego świeżego dzieła z innych języków. Jeżeli zaś złagodzimy to położenie warunkiem, wymagającym od autora, ażeby sam w ciągu lat trzech dokonał przekład pod groźbą utraty prawa, to wypadnie nam poprostu coś wielce naiwnego. Bo przecie każdy autor w ciągu trzech lat zaledwie może zoryentować się, czy oryginał jego pracy zyskał powodzenie, a p. Sp. każe mu już w tym krótkim okresie wydać przekłady we wszystkich krajach, z którymi nie ma żadnych stosunków. Weźmy przykład: Zeisel napisał i wydrukował po niemiecku swoją *Chemię*. Po trzech latach nie wie on jeszcze, czy sprzedaż książki pokryła jej koszty, ale jeżeli nie chce utracić przywileju, musi natychmiast znaleźć nakładcę na wydanie jej w przekładzie: francuskim, angielskim, włoskim, ruskim, polskim (świeżo wyszła), hiszpańskim itd. Pomysł taki jest jako figiel adwokacki niezłym, ale jako prawo nie posiada żadnej wartości. Daleko prościej, rzetelniej i praktyczniej powiedzieć: przekłady są wolne.

Z wysoka.

Jak mądrość p. B. Prusa z trudnością obejść się może bez kilku cyfr statystycznych, tak jego dowcip bez... majtek. Pokazywał on nam te majtki (pozbawione guzików) na uciekających z pola bitwy francuzach, pokazywał w zabawach ludowych, pokazał również w wyratowanych z groty styryjskiej. Ani telegraf, ani gazety nie doniosły mu żadnej w tym przedmiocie wiadomości, matki i żony wydobytych z pieczary nie poskarżyły mu się na potrzebę cerowania uszkodzonej odzieży—on jednak ogłasza, że „ostatecznym wynikiem jest sześć, czy siedem par majtek, podartych o kamienisty grunt Luglochu.“ Gdybyśmy wtedy, gdy p. Prus uroczyście obiecywał, że „pierwsza polska wyprawa do Afryki“ zapisze się niezatartemi głoskami w księdze wiedzy i głosował za wyposażeniem jej funduszami publicznymi, gdybyśmy wtedy, albo nawet po fatalnem zakończeniu farsy powiedzieli, że „każdy grosz wyrzucony, każda praca nieprodukcyjna, każde cierpienie zbyteczne jest nietylko marnotrawstwem sił, ale odciąganiem ludzi od roboty obowiązkowej“ i że ostatecznym wynikiem owej słynnej wyprawy było „sześć czy siedem par podartych majtek,“ byłby co najmniej potępił nas za przesadny pozytywizm, jeżeliby nie sięgnął do „kubełka,“ którego lubi używać w polemikach. Wobec wypadku w Luglochu jest i praktycznym, i oszczędnym, i surowym dla „włóczykijów“ i „filistrów,“ chociaż to byli tacy sami „włóczykije“ i „filistrzy“ a nie uczeni, jak członkowie pierwszej wyprawy afrykańskiej. I dlaczego? Dlatego, że on pojmuje wielkość, zacność i pożytek tych tylko przedsięwzięć, które sam pobłogosławił, dlatego, że powiedziawszy raz coś mądrego, musi swego zdania bronić bodaj majtkami, które rzeczywiście już się bardzo podarły, ale pod jego piórem. W jednej ze swych po-

wieści p. Prus kreśli bardzo ładny obraz zbłąkanego pieska. Tyle odsłania w tem zwierzęciu cierpień i żalów, że tworzy prawdziwą tragedyę, którą głęboko odczuwa i rozumie. Ale gdy siedmiu ludzi, pragnących zbadać grotę i bieg potoku, przez dziewięć dni kona z głodu i trwogi, ma dla nich tylko płaskie drwiny. Bo on wiedział, że będą ocaleni, gdyż „górnicy nieraz po parę tygodni byli zakopani, a Tanner i Succi po 40 dni nie jedli.“ Co to za imponujący spokój i wyższe spoglądanie na ludzi i rzeczy! Anibyśmy domyślili się w tym zimnym filozofie twórcy zbłąkanego Burka, a w tym ekonomiście, podającym wyratowanej gromadce rachunek kosztów jej ocalenia — orędownika „pierwszej polskiej wyprawy do Afryki.“ P. Prus dziwi się, że *Prawda*, która „od czternastu lat apostołuje pozytywizm“ (możnaby przypuścić, że on przez 14 lat siedział w Lüglochu), okazuje tyle sentymentalizmu dla wydobytych z grobu „filistrów,“ niechże więc nam wolno będzie powinszować autorowi najsentymentalniejszych obrazków i projektów takiej wyniosłej pogardy dla zwykłych wzruszeń ludzkich i dbałości o całość cudzych majtek. *P.*

W Wilanowie.

Przejażdżka za mury Warszawy nie zawsze należy do przyjemnych, zwłaszcza dla kobiet i dzieci. Kto chce przyjrzeć się ciekawemu obrazkowi, niechaj się uda w święto do Wilanowa i przygląda się tam natłokowi spacerowiczów, usiłujących wieczorem dostać się do tramwajów. Kiedy zjawi się tramwaj, wtedy ludziska zapominają o wszelkich względach — jeden pcha się na innych, przewraca, niekiedy wprawia w ruch pięści. I przysłowiowa nasza grzeczność względem kobiet wykazuje tam istotną swoją wartość, mianowicie iż jest jedynie frazeologią zdawkowej natury. Gdzie prawo mocniejszego rządzi w całej pełni, tam przedstawicielki płci pięknej z konieczności zostają mocno pokrzywdzone. To też przyglądając się bójkom wilanowskim, byliśmy już parę razy świadkiem tego, że pierwsze wagony są przepełnione mężczyznami, kobiety zaś z dziećmi ruszają do domu dopiero około dziewiątej, wyczekując po godzinie i więcej na szczęśliwą chwilę, kiedy uda się im bez walki zająć miejsce w tramwaju. Jeżeli która jest w towarzystwie mężkiem, wtedy mężczyzna wychodzi o jakie pięć i więcej minut na spotkanie jadącego w stronę Wilanowa tramwaju, wskakuje w pełnym biegu i na stacyi ustępuje miejsca żonie lub siostrze, sam zaś przyczepia się gdzie może. Ale jeżeli jest kilkoro dzieci, fortel ów staje się niemożliwy. Z pomocą przychodzą przedsiębiercy wydwrigorze, którzy jednak w danym razie spełniają bardzo pożyteczną rolę — zajmują miejsce przed stacyą i sprzedają! A jednak jak łatwo byłoby usunąć te nadużycia, gdyby tylko spółka, posiadająca linię wilanowską, zechciała więcej nieco dbać o wygody publiczności, z której przecież ciągnie tak piękne zyski. W Paryżu na każdej stacyi tramwajowej, na której bywa tłumniej, istnieją oficyaliści, rozdający zgłaszającym się kolejno numery, tak jak to dzieje się u nas w poczekalniach lekarskich. Kiedy tramwaj nadjeżdża, kontroler po kolei wywołuje numera, bez natłoku publiczność siada, bo każdy jest pewny, że na niego też nadejdzie chwila. Mechanizm jest tak prosty i przytem tak mało kosztowny, iż sądzimy, że spółka wilanowska mogłaby jakiś parę rubli w niedzielę odtrącić od pobieranego plonu i wyznaczyć je na utrzymanie tak potrzebnego oficyalisty. Nawet własny jej interes powinien ją popchnąć w tym kierunku, gdyż wiele osób, spróbowawszy w Wilanowie i Czerniakowie słodyczy prawa pięści, powtórnie nie tak prędko odważy się na ponowne doświadczenie. *W.*

Pola doświadczalne.

Ministeryum rolnictwa, świeżo utworzone, zaczyna już swą działalność. Przedewszystkiem położyło ono nacisk na potrzeby krzewienia praktycznych umiejętności w zakresie gospodarki wiejskiej, a więc na konieczność urządzenia ferm wzorowych. Taka jednak postać praktyki wymaga znacznych kosztów i czasu. Ferma nie może powstać na poczekaniu i przynosić prędko takiego pożytku, iżby ślady jego były znaczne. Najpierw zatem trzeba zacząć od czegoś prostszego: od pól doświadczalnych, które dadzą się szybko założyć w różnych miejscowościach państwa. Tym sposobem próby według wszelkich wymagań nauk agronomicznych mogą być natychmiast przedsięwzięte, fermy zaś wymagają lat kilku na zupełne urządzenie i zagospodarowanie. Z czasem te pola wejdą w skład ferm na wzór urządzeń zagranicznych. Zdaje się, że w tej mierze nie będzie żadnych trudności. Stacya sobieszyńska ma swoje wzorowo urządzone pole do badań specyalnych, obecnie zaś kiełkuje nowa stacya na folwarku Służewice w dobrach wilanowskich. Wreszcie przekształcony program Instytutu nowoaleksandryjskiego, szkoła niższa w Końskowoli i Sobieszynie również mają na głównym planie pola do wszelkich prób najniezbędniejszych. Ponieważ między innemi zadaniami ministeryum rolnictwa jest troszczyć się o rozwój liczebny i jakościowy szkół agronomicznych, ruch więc w tym zakresie jest już nie rachubą prawdopodobną, lecz pewnikiem. Jednym z najważniejszych warunków takich zakładów jest praktyka w polu z możliwie największem przystosowaniem i wyzyskaniem zdobyczy naukowych, szkoły więc staną się kapitałem dla rolników ważnym, który zacznie procentować odrazu. Obok bowiem kształcenia młodzieży na uzdolnionych agronomów, zakłady naukowe rolnicze będą mogły jednocześnie odgrywać rolę doświadczalni, z których wyniki badań posłużą ogółowi ziemian do wzmocnienia racyonalnej gospodarki. Wobec tego łatwo ocenić, jak doniosłe będą miały znaczenie pola eksperymentalne, szczególnie przy szkołach rolniczych, gdzie wszelkie niezbędne środki są na zawołanie. *P.*

Ślepota.

Naszemu stuleciu nadano już dużo nazw, zależnych od zjawisk doby. Do tego szeregu imion można dorzucić jeszcze jedno: wiek ślepoty. Już jesteśmy się przyzwyczaili do tej masy szkieł, połyskujących w salonach, salach koncertowych, teatrach, na ławach szkolnych itd.; nie razi nas widok idących obok siebie czterech lub pięciu młodych ludzi w okularach, a nawet — malców posługujących się szkłami powiększającemi. Potrafiliśmy taki stan rzeczy wytłomaczyć sobie wadliwością sal szkolnych, nadmierną pracą, wymagającą wysilania oczu, i nazwaliśmy cierpienia i wady wzroku chorobą warstw „inteligentnych.“ Przypatrzmy się atoli innym sferom społecznym, zajdźmy do kliniki oftalmicznej, do salonu przyjęć okulistów, a uderzy nas ogromna liczba pacyentów „nieinteligentnych,“ nie mających nic wspólnego z pracą naukową, ani z ławami szkolnemi. Choroby oczu śród rzesz pracowników fizycznych zajęły dziś poważne miejsce w szeregu innych cierpień i w wielu razach nawet przybrały postać epidemiczną. Jeżeli będziemy szukali uważnie przyczyn tego smutnego zjawiska, znajdziemy źródło złego, tkwiące głęboko w warunkach pracy, tudzież w braku najelementarniejszych pojęć o hygienie. Weźmy tylko jedną warstwę i jedną rasę: żydów. Dostarczają oni rażąco dużego procentu chorych na oczy. Jednocześnie dają najwięcej ludzi osłabionych lub nierozwiniętych fizycznie. Nie trzeba zbyt głęboko sięgać, ażeby związku z tem dopatrzyć w nędznem odżywianiu się, niechlujstwie, szyciu po całych dniach i do późna w nocy itd. W dziedzinie zaś pracy wytwórczej fabrycznej i ręcznej, moglibyśmy wyliczyć mnóstwo odłamów działających zabójczo na wzrok. Na tę stronę dotychczas najmniej zwracano uwagi, i dopiero obecnie widzimy nieco wyraźniejszy ruch, ujawniający przeciwdziałanie złemu. Walkę z chorobami oczu podejmuje ministeryum spraw wewnętrznych, które przyszło do przekonania, że tak zwane „latające“ oddziały okulistów, wysyłane na prowincyę w pewnych odstępach czasu, nie odpowiadają zupełnie celowi. Przyczyny stale wzrastającej ślepoty ministeryum upatruje w niskim poziomie kultury ludności i braku odpowiedniej liczby okulistów. W 50 guberniach Rosyi europejskiej jest ich zaledwie 119, w Królestwie Polskiem 5 (?). Lekarzy zajmujących się leczeniem oczu, ale nie wyłącznie specyalistów, w powyższych guberniach jest 161, z tej liczby na Królestwo przypada 55. Wobec takiego stanu rzeczy, ministeryum postanowiło skłonić ziemstwa i zarządy ziemskie do udzielania zapomóg okulistom tam, gdzie się szerzą choroby oczu i gdzie pomoc w tej mierze jest niezbędną. Nadto, przy szpitalach gubernialnych mają być otwarte oddziały specyalne dla tego rodzaju chorych. Wreszcie oftalmologia będzie zaliczona do głównych przedmiotów wykładowych na wydziałach medycznych, i wogóle specyalizowanie się w tej dziedzinie uzyska szereg znacznych ułatwień. Nieobojętnym dla ogółu jest fakt otwarcia w Warszawie drugiego szpitala oftalmicznego. Dotąd bowiem jedyny przy ulicy Smolnej nie tylko w naszem mieście, ale w całem Królestwie Polskiem, nie wystarczał nawet dla skromnej cząstki chorych. Nowy zakład mieści dwa oddziały: jeden dla zamożniejszych, za opłatą od 2 rs. 50 kop. dziennie, drugi dla uboższych na sali wspólnej za opłatą 1 rs. 20 kop. na dobę od osoby z całkowitem utrzymaniem. Dla chorych przychodnich będzie urządzona odrębna sala, w której porada lekarska ma być udzielana (od 10 do 2-ej po połud.) za opłatą po 30 kop. od osoby. *Zn.*

W DALI.

Radom. Na 27 b. m. oznaczono w Sandomierzu zjazd komisyi międzynarodowej, złożonej z przedstawicieli ministeryum komunikacyi i inżenierów austryackich w sprawie dalszych robót regulacyjnych na Wiśle. W pobliżu pogranicza poruszono projekt budowy linii kolejowej z Ostrowca, krańcowej stacyi drogi Dąbrowskiej (poprzecznej) przez Opatów do Sandomierza na przestrzeni 60 wiorst. — W okolicy Końskich przemysł fabryczny pomyślnie się rozwija. We wsi Fidor, nabytej od hr. Wielhorskiego, spółka przemysłowa wybudowała piece do wytapiania rocznie 75,000 centnarów surowca, przy pomocy 200 górników (już obecnie zajętych) i 50 hutników. Ruda miejscowa zawiera 35—38% żelaza. Po za tem puszczono w ruch fabrykę posadzek terrakotowych; inna spółka wybudowała młyn do wyrobu i mielenia farby, zwanej ochrą, której pokłady są obfite w okolicy. Wreszcie powstaje fabryka odlewów żelaznych.

Lublin. Wystawy doroczne koni włościańskich, urządzane stale w Lublinie, mają doniosłe znaczenie dla kraju, a jednak ogół inteligentniejszy mało się interesuje tym ruchem. Nawet niewielu przyjeżdża obywateli ziemskich, chociaż z różnych warstw ludności okolicznej, po włościanach najbardziej ziemian powinny zaciekawiać tego rodzaju wystawy. Dają się słyszeć zdania, iż byłoby pożyteczne urządzanie na przemian w różnych miastach owych wystaw, gdyż tym sposobem wziąłby w nich udział ludność z wielu zakątków, odległych od Lublina. — *Gazeta* miejscowa zwraca uwagę właści-

cieli lasów, iż sprzedając drzewo po cenach, notowanych w pismach warszawskich, ponoszą wielkie straty. Gdy np. w Snopkowie sprzedano 16 włók za 95,000 rs. wybornego starodrzewu, p. Szloma Wiener z Bełżyc wziął za gorszy las po rs. 2,000 za mórg, czyli otrzymał dwa razy większą cenę, niż biorą właściciele ziemscy szlachta.—W Lublinie rozpoczęła szereg przedstawień nowoutworzona trupa dramatyczna pod dyrekcyą p. Leona Bogdanowicza.

Ryga. Organ miejscowy, *Rižskij Wiestnik*, zamieszcza wiadomość o zapowiedzianem przekształceniu politechniki. Przy ministeryum oświaty stworzono już osobną komisyę w tym celu. Przyczyną reformy jest rozporządzenie, iżby wszystkie przedmioty były wykładane w języku ruskim. Wogóle wszystkie prawie miejscowe zakłady naukowe zostały przekształcone; a ponieważ dostarczają one w części kandydatów do politechniki, więc władza uznała za konieczne przystosowanie i tego zakładu do warunków ogólnych. — Według ostatniego sprawozdania katolickiego Towarzystwa dobroczynności, w utrzymywanych kosztem tej instytucyi zakładach wychowawczych znajdowało się 354 dzieci (168 dziewcząt i 186 chłopców). P. Justyn Szczytt, b. marszałek witebski, ofiarował na rzecz budowy nowej ochronki dla dziewcząt 10,000 rs. Przekazane na własność Towarzystwa przez tegoż ofiarodawcę jeszcze dawniej rs. 10,000 dadzą możność utworzenia stałej ochronki dla chłopców.

Moskwa. Otwarto pierwszy zjazd artystów ruskich i miłośników muzyki w audytoryum Muzeum historycznego. Jednocześnie urządzono tam wystawę obrazów, rysunków i rzeźb ze zbiorów właścicieli prywatnych. Spasowicz wygłosił mowę o prawie własności artystycznej i teoretycznie oświadczył się za konwencyą. z zastrzeżeniem wszakże pewnych ograniczeń. Zdaniem mówcy, nie uregulowawszy prawnych stosunków autorów własnych, nie można przystępować do umowy międzynarodowej.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ZE STOSUNKÓW HANDLOWO-ROLNYCH.

II.

Inne cechy międzynarodowego handlu zbożem. — Naśladownictwo wzorów amerykańskich. — Porównanie stosunków zamorskich ze swojskimi i wnioski. — Kto skorzysta z giełd i elewatorów. — Znaczenie nowoczesnego rynsztunku technicznego w walce na rynkach.

Tranzakcye terminowe zapanowały w międzynarodowym handlu zbożem. Ich natura sprawia, że nabywca nie ogląda ziarna, zjawia się więc w handlu dążność do ujednostajnienia towaru, jako środka, który umożliwia kupno według próbek. Samo zboże, czekające terminu, musi znajdować się w dogodnych warunkach. Słowem, ukazuje się cały mechanizm nowych wymagań, nieznanych starodawnej przeszłości. A rozwój handlu wszechświatowego silnie prze w tym kierunku: ów postęp techniczny od rynków środkowych idzie do drugorzędnych, później do trzeciorzędnych i tak dalej, od kraju importowego do wywozowego. Okoliczność, czy pewien kraj wywozowy posiada mniej lub więcej zdolności do przyswojenia sobie tych norm, zaczyna rozstrzygać o przyszłości jego na rynku międzynarodowym — do pewnego stopnia. A trzeba przyznać, że kraje eksportowe zamorskie odznaczają się w tej mierze bardzo wielką elastycznością, wówczas kiedy wywozowe obszary wschodniej Europy z nadzwyczajnym wysiłkiem zdobywają się na to, ażeby u siebie stworzyć warunki, wymagane przez wielkohandlową technikę w zakresie tranzakcyi zbożem.

Stany Zjednoczone wydały najlepsze wzory nowoczesnej techniki zbożowej, które ukazały się tam, jako naturalne ogniwo rozwoju historyczno-ekonomicznego. Ponieważ ostatnimi czasy ziemianie europejscy, za nimi zaś rządy zaczynają przebąkiwać o przesadzeniu niektórych urządzeń tamtejszych na grunt naszej części świata, przeto warto przyjrzeć się warunkom, wśród których powstała zamorska technika handlu zbożem i wśród jakich okoliczności ona funkcyonuje. To da nam poniekąd wskazówkę, jaki pożytek otrzymamy z przejęcia wynalazków amerykańskich.

Uprawa pszenicy rozsiadła się właściwie w Stanach Zjednoczonych na porzeczu Misisipi; tak zwany *wheat-center* znajduje się dzisiaj zdala od jej prawego brzegu. Warunki historyczne, w jakich tamtejsze rolnictwo karczowało dziewicze grunta Zachodu, oraz sposób produkcyi sprawiły to, że ziarno odznacza się wielką jednostajnością pod względem swoich właściwości — okoliczność bardzo ważna, która wielce się przyczyniła do wprowadzenia na giełdy i w tranzakcyach na dostawę nomenklatur zbożowych.

W ciągu dalszym rolnictwo amerykańskie czyniło i czyni nowe podboje wzdłuż dróg kolejowych. Grunta, znajdujące się już w kilkudziesięcio-wiorstowej odległości od toru kolejowego, są bez ceny i spoczywają odłogiem. Kolej w pewnej okolicy poprzedza rolnika. A zatem, od samego początku handel zbożem użytkuje z najlepszych środków komunikacyjnych. Jednocześnie gospodarstwa amerykańskie nie znają spichlerzy, zboże spoczywa wśród pól w specyalnym domku parę tygodni, później zaś bywa składane w magazynach zbożowych, znanych u nas pod nazwą elewatorów. W naszej podróży po Dakocie i Minnesocie na każdej stacyi drogi żelaznej oglądaliśmy po 4—5 takich „uspołecznionych" spichlerzy. Minneapolis panuje nad obszarem dowozowym, posiadającym z górą 2000 elewatorów! Fermer odwozi na skład swoje zboże do tych magazynów, otrzymuje wzamian kwit i opłaca taksę stosownie do rozmiarów transportu i długości czasu, przez jaki ziarno leżało. Pojedyncza spółka akcyjna posiada po kilkadziesiąt i po parę set takich budynków i względem fermera zobowiązuje się w wyznaczonym dniu wydać zboże tej samej nomenklatury w jakimkolwiek ze swoich elewatorów za potrąceniem taksy transportowej i opłaty za przechowanie — kompania odpowiada za jakość zboża. Pojedyncze spółki znajdują się pomiędzy sobą w stosunkach, przypominających nasze przekazy pomiędzy domami bankierskimi. Teoretycznie zatem istnieje możliwość, że fermer z Dakoty za pomocą drutu telegraficznego, z kantoru danego elewatora, może nakazać swojemu komisantowi sprzedać po bieżącej cenie pewną ilość zboża pewnej nomenklatury w New Yorku — opłatę za transport złoży w danym kantorze, któremu przedstawił swój kwit magazynowy, i mimo odległości 2,000 wiorst nabywca w New Yorku otrzyma zboże tego samego dnia, spółki zaś elewatorskie już pomiędzy sobą załatwią wszystkie rachunki.

Liczbę elewatorów w Stanach Zjednoczonych należy mierzyć tysiącami. Naturalnie taka sieć składów wraz z możliwością „przekazów" zbożowych sprzyja rozwojowi tranzakcyi na dostawę i innych czynności. Ruchliwy fermer amerykański, nawet najdrobniejszy, jest obeznany z bieżącymi kursami na paru najbliższych giełdach zbożowych, chociaż odległych według naszej miary o kilkaset wiorst. Zna się on na operacyach handlowych, pilnie baczy na korzyści, jakie odniesie z tej lub innej sprzedaży, i za pomocą drutu telegraficznego, z kantoru najbliższego elewatora, może tam sprzedać, gdzie uważa za najstosowniejsze. To zaś, że zboże jego spoczywa już w elewatorze, poręczone przez zarząd w swojej nomenklaturze, umożliwia mu dokonanie operacyj w każdej chwili. Wreszcie, celem uniknięcia sporów o to, czy ziarno odpowiada swojej klasyfikacyi, a nadto dla kontroli nad wywozem i handlem, istnieją specyalni urzędnicy przy giełdach odpowiednich, inspektorzy zbożowi, którzy dozorują zarówno dowozu, jak wywozu zboża z wielkich ognisk handlu tym produktem.

W ten sposób istnieje zwarty system środków i urządzeń, wzajemnie uzupełniających się, gdzie każdy szczegół jest na swojem miejscu, dopasowany do innych i wyrosły drogą samorodną, naturalną, gdzie mechanizm działa z ogromną sprężystością i umożliwia korzystanie ze swoich usług nawet drobnemu fermerowi, jeżeli ten posiada odpowiednią przedsiębierczość ducha.

Otóż te wzory, które w Stanach Zjednoczonych ukazały się żywiołowo, w miarę rozwoju życia, ci i owi usiłują przeszczepić na grunt europejski w krajach eksportowych. Słychać głosy, domagające się wzniesienia elewatorów, rozpowszechnienia w handlu zbożowym tranzakcyj na dostawę itd. Nie myślimy zaprzeczać, że te instytucye przyczynią się do ożywienia danej gałęzi handlu, ale niepodobna nie spostrzedz, że nie wszyscy zainteresowani odniosą z nich taką korzyść, jak w Stanach Zjednoczonych. Istotnie, porównajmy z sobą stosunki swojskie a amerykańskie.

W Ameryce.	U nas.
1. Ziarno odznacza się bardzo wielką jednostajnością, która umożliwia istnienie niewielu nomenklatur klasyfikacyjnych.	1. Ziarno posiada wielką rozmaitość, co ogromnie utrudnia sortowanie i rodzi spory o gatunki.
2. Nomenklatura ziarna jest wyznaczaną przy składaniu do elewatora, rolnik zaś czyni już dalsze tranzakcye na odpowiedzialność kompanii.	2. Niema nic podobnego.
3. Sieć elewatorów umożliwia przekazy zbożowe, mimo odległości załatwiane nawet tego samego dnia. Fermer zdoła sprzedawać zboże na dalekim rynku i w każdym czasie za pomocą drutu telegraficznego.	3. Jeden dziesiątek elewatorów nie stworzy warunków zamorskich i rolnik jest powstrzymywany w swoich zamiarach, jeżeli pragnie nawiązać bezpośrednie stosunki z dalekim rynkiem.
4. Sprzedaż na dostawę jest znaną każdemu fermerowi, nawet najdrobniejszy śledzi zmiany kursu. Tranzakcye terminowe są w powszechnej praktyce, i rolnicy wprost zwracają się na giełdę.	4. Znajomość kursów jest niemal zupełnie nieupowszechnioną. Z tranzakcyj terminowych korzystać mogą tylko obrotni ziemianie, którzy znajdują się w dogodnem położeniu przy drogach komunikacyjnych i blizko wielkiego rynku.
5. Inspekcya zbożowa i system elewatorów uniemożliwiają przy dostawie spory o nomenklaturę.	5. Rolnik przy sprzedaży na dostawę jest narażony na to, że zboże zostanie uznane za nieodpowiadające próbce, lub narażony na mozolne dochodzenie przeciwko nabywcy.

Powyższa tablica porównawcza świadczy wymownie, że wprowadzenie do nas giełd zbożowych, zwyczaju tranzakcyi i paru elewatorów nie stworzy tego mechanizmu, który działa za morzem. Wymienione instytucye są po tamtej stronie Atlantyku jedynie górnem piętrem, które ma pod sobą bardzo mocny i szeroki fundament. Powołanie zaś u nas do życia tego rodzaju stosunków w całej ich rozciągłości jest rzeczą niemożliwą. Takich instytucyj i zwyczajów żaden dekret i żadna inicyatywa nie stworzą, jeżeli życie swoim biegiem nie wyłoniło odpowiednich pierwiastków. Można stworzyć jedynie ostatnie ogniwa, wieńczące dzieło: giełdy wraz z tranzakcyami terminowemi, oraz pewną ilość elewatorów. Zrobią one to, co zrobić mogą, mianowicie ułatwią przechodzenie zboża z rąk jednej większej firmy handlowej w ręce drugiej. Z pośród ziemiaństwa skorzystają na tem tylko wielcy, a dostatecznie obrotni obywatele, ci, którzy nadto

znajdują się w wygodnych warunkach transportowych, i to skorzystają wtedy, jeśli inspektorat zbożowy da im opiekę swoją przeciwko ruchliwszemu i zawsze bardziej rzutkiemu pośrednikowi. Naturalnie, przeniesienie wspomnianych urządzeń do krajów wywożących nawet w takiej formie da mnóstwo korzyści — ale, należy dobrze rozumieć, co one z sobą przyniosą i czego w żadnym razie dać nie zdołają.

W ten sposób widzimy, że wywożące zboże kraje Europy nie mogą zadość uczynić wszystkim wymaganiom nowoczesnej techniki handlowej, gdyż ciążą na nich pęta rozwoju historycznego, od których wolną jest Ameryka. A jednak, ażeby obroty zbożem szły z dostateczną żwawością i handel owym produktem posiadał potrzebną w stosunkach międzynarodowych elastyczność, okolice te powinny się pozbyć takiego spętania, co znowu nie jest rzeczą możliwą. Okoliczność ta zaczyna wywierać swoje skutki w walce konkurencyjnej, jaka się toczy na rynku wszechświatowym pomiędzy krajami eksportowymi starej a nowej daty, i naturalnie przyczynia się do tego, że te ostatnie posiadają więcej widoków zwycięztwa w danym wypadku. Przypuśćmy np., że z powodu wojny lub innej przyczyny dowóz zboża z pewnego kraju eksportowego został powstrzymany. Natenczas kraje z rozwiniętą techniką handlową mają o wiele więcej widoków, że pośpieszą z prędkimi transportami, aniżeli postawione niżej pod tym względem. Albo weźmy inny wypadek. W jednym np. z krajów eksportowych posucha doprowadziła do nieurodzaju. Jeżeli giełdy zbożowe w jakimś innym są rozwinięte i obywatele przyzwyczaili się do korzystania z nich, naówczas posiadają oni możność wyzyskania nadarzającej się sposobności o wiele większą, aniżeli rolnicy z krajów, które nie mają takich urządzeń. A zatem jakkolwiek z giełd zbożowych, tranzakcyj terminowych, elewatorów na razie odniosą zysk jedynie kupcy i tylko nieliczni ziemianie, to jednak pośrednio takie instytucye są też dla ziemiaństwa koniecznością jako rynsztunek bojowy, umożliwiający krajowi eksportowemu starej daty stanowisko na rynku międzynarodowym i walkę ze współzawodnikami zamorskimi.

K. R. Ż.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Gorączka giełdowa. Korespondent petersburski *Warsz. Dniewnika* pisze: „W obecnym czasie partya zwyżki giełdowej urządziła prawdziwą orgię na giełdzie. Powstało mianowicie kółko spekulantów, które stara się za pośrednictwem wszelkiego rodzaju kłamliwych wiadomości itp. rozpalać namiętność do gry na zwyżkę, ażeby zarabiać kosztem łatwowiernych. Kółko tych spekulantów między innemi dla podwyższenia kursu akcyj petersburskich banków prywatnych, rozpuściło wiadomość, że instytucye te osiągają ogromne zyski z udziału w obecnej konwersyi, gdy tymczasem w rzeczywistości główne banki w Petersburgu i Moskwie nie mają z konwersyi tej żadnego zarobku i nawet przyjęły na siebie nieuniknione przy takich operacyach wydatki na wysyłkę depesz itp.“ Korespondent twierdzi, iż kółko spekulantów, których główni kierownicy znajdują się w Petersburgu, składa się ze stu osób i że pewna ich część mieszka w Charkowie, Warszawie, Kijowie i Odesie.

Kredyt dla rzemieślników. Z powodu zapowiedzianego przekształcenia Banku państwa i rozszerzenia zakresu jego działalności, wypłynęła na porządek dzienny sprawa kredytu dla rzemieślników. Według danych z r. 1892, było w Warszawie 9,220 warsztatów rzemieślniczych, w których pracowało 21,922 czeladników i 19,185 uczniów. Wartość przetwarzanego materyału wynosiła 24,475,300 rs., wartość zaś wyrobów z tego materyału w ciągu powyższego roku uczyniła rs. 46,395,400 rs. „Obroty takie — pisze *Wrrsz. Dniew.* — dają bardzo silną podstawę do kredytu i przedstawiają zupełne bezpieczeństwo, tem więcej, że do sum obrotowych przybywa jeszcze wartość warsztatów, narzędzi i maszyn, oszacowanych na 2,836,975 rs. Rzeczywiste dane statystyczne wyrażają się w cyfrach znacznie większych, gdyż do kategoryi rzemiosł nie wliczono tu jeszcze wielu zakładów, których produkcya jest rzemiosłem, a cyfra jej wartości w tym samym roku dosięgła 2,495,424 rs. Odpowiedzialność kredytowa każdego pojedynczego rzemieślnika, zdaniem powyższego organu, daleko lepiej określić potrafi urząd starszych danego cechu, niż wymagane dotychczas przez instytucye kredytowe sprawozdania prywatne.

— Dywidendy za r. 1893 banków akcyjnych w Królestwie Polskiem są następujące: Bank handlowy w Warszawie $10\frac{1}{5}$% (za r. poprzedni 9), Bank dyskontowy warszawski $9\frac{1}{2}$% (rok poprzedni $7\frac{1}{5}$), Bank handlowy w Łodzi 12% (rok poprzedni 9). Na pomyślne rezultaty, według *Gaz. los.*, wpłynęły wyższe stopy eskontowe i konwersye listów ziemskich.

— Rezultat konwersyi do d. 14 maja jest następujący: w Banku państwa i jego oddziałach rs. 548,013,000, w kasach oszczędności rs. 73,861,000, w bankach petersburskich i moskiewskich 159,430,000, w warszawskim Banku handlowym 4,079,000, w Banku syberyjskim 2,797,000, w Niemczech rs. 39,030.000, w Holandyi rs. 6,216,009, we Francyi rs. 34,961,000. Ogółem rs. 903,940,000.

O PRAWDĘ.

I.

W sprawozdaniach (nie wyłączając w pismach nawet poważnych) z odczytu p. Palmirskiego między innemi powiedziano, że organy powstawały, przekształcając się jedne z drugich, i ani jednego organu niema, któryby powstał inaczej. Jeżeli rzeczywiście zdobycze na polu morfologii upoważniają nas aż nadto, w większej ilości wypadkach, do powyższego wniosku, to jednakże twierdzenie, że niema ani jednego narządu, któryby powstał, nie przekształciwszy się z istniejącego już tego lub innego organu, jest fałszywe, błędne, bo jeżeli musimy się zgodzić, że płuca są niczem innem, jak zmodyfikowanym pęcherzem pławnym, czaszka zmodyfikowanemi kręgami itp., to jednakże mówiąc o powstaniu organu wzroku, w najpierwotniejszej, najprostszej swej formie, o jakichś przekształceniach i mowy być nie może, uważając, i słusznie, powstanie tego narządu jako proste zboczenie indywidualne; to samo musimy powiedzieć o uchu, o powstaniu chociażby gruczołu mlecznego u dziobaka, organu wydzielającego mleko — o powstaniu czegoś, co mózgiem nazwać można, itp; w tych wypadkach będziemy musieli odrzucić twierdzenie o przekształceniach się jednego organu w drugi.

Ze względu więc na to, że sprawa powstawania organów źle została zrozumianą przez pp. sprawozdawców, uprzejmie proszę Cię, Panie Redaktorze, o łaskawe wydrukowanie w *Prawdzie* tych słów kilkunastu.

Aleksander Piotrowski.

II.

Uzdolnienie wzrokowe u koni.

Wielu badaczów, jak Mathiessen i Berlin u koni wyłącznie, Hierschberg i Fleischer u zwierząt pozostałych domowych, bardzo dokładnie ocenili refrakcyę ich oczu. Przyznali oni *nadwzroczność*, nie zaś *krótkowzroczność*, jak mniema dr. Ochorowicz (sprawozdanie *Kuryera codziennego*, nr. 97 z r. b.), w stopniu nader niżkim za refrakcyę normalną oczu zwierzęcych.

Tego samego są zdania Ewersbusch, Lang, Bayer i Möller i w. in. Wiarogodność swych badań dwaj pierwsi okuliści sprawdzili na drodze analizy fizycznej, a mianowicie przez określenie współczynnika załamywania się promieni światła w ośrodkach łamliwych oka końskiego oraz stosunku zachodzącego między współczynnikiem a długością gałki ocznej.

Nadwzroczność u koni wedle Berlina wyraża się nr. 40 i nr. 20 soczewek, to jest, gdybyśmy zastosowali wskazane szkła koniom, w stosunku do wzroku ludzkiego posiadałyby one prawidłowy, taki właśnie, jakim większość cieszy się ludzi. W istocie więc konie są *dalekowidzami*. Nie wyklucza prof. Berlin stopnia wyższego, prawidłowowzroczność i krótkowzroczność natomiast zalicza do wyjątków.

Otóż, jeżeli dr. Ochorowicz wygłosił, iż „bez wyjątku prawie wszystkie konie są krótkowidzące, to się minął z istotą rzeczy, a skutkiem tego wszelkie jego wywody, jako na założeniu błędnem oparte, upadają. Stąd zaś jakoby wypływający brak poczucia przestrzeni jest również bezpodstawnem twierdzeniem, oraz i to, że gałki oczne u koni szwankują na ruchliwości.

Owszem, koń posiada nader ruchliwe gałki, co jest mu nader pomocnem przy szybkim biegu po terenie nierównym i wielce odmiennym.

Powołamy się na pracę klasyczną p. Berlina p. t. „Ocena odległości u istot bezmownych“ *), zamieszczoną w piśmie okulistycznem.

O uzdolnieniu wzrokowem u istot bezmownych, z uwzględnieniem koni, zabieraliśmy głos w piśmie wychodzącem we Lwowie p. t. *Przegląd weterynaryi*.

Należy ubolewać, iż prelegent zużytkował swą swadę i energię ku spopularyzowaniu poglądów, z punktu widzenia nauki błędnych, w ten więc sposób dorobek naukowy z odczytu usunął, a wśród szerszego koła o jeden więcej błąd utrwalił **).

Piotr Boczkowski
lekarz weter.

III.

Proszeni jesteśmy o zamieszczenie następującego sprostowania:

W nr. 13 *Głosu* z r. b. zamieszczono w korespondencyi z Jurjewa (Dorpatu) następującą wiadomość o stowarzyszeniu studentów polaków tamtejszego uniwersytetu: „Stowarzyszenie wydało obecnie edykt, iż wszyscy nienależący do niego z różnych powodów studenci nie mają prawa korzystać z biblioteki stowarzyszenia nawet za pieniądze, jak było dotąd.“ W kwestyi tej należy się wyjaśnienie. Istniał tylko projekt powyższej treści, przyjęty „w pierwszem czytaniu większością głosów. Później projekt odrzucono przy powtórnem głosowaniu. Wiadomość, podana między jednem a drugiem posiedzeniem, oparta była na błędnej informacyi co do stanowczości decyzyi.

Jan Muszyński.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. *Pos. Ztng* donosi, iż komisya kolonizacyjna nabyła od p. Chrzanowskiego wieś Brudzewo, 2,700 morgów, w powiecie wrzesnickim. Obecnie więc posiada ona w owym powiecie 12 dóbr, mających 4,500 hektarów obszaru. Ogół większej posiadłości niemieckiej wynosi tam 20,500, polskiej zaś tylko już 18,000 hektarów.

— W Homlu zatwierdzono ustawę Towarzystwa wzajemnego kredytu.

— W czerwcu ministeryum skarbu dokona rewizyi ustaw, dotyczących stowarzyszeń akcyjnych.

— Towarzystwo ratowania tonących w Warszawie r. z. liczyło 60 członków. Kapitał powiększył się przeszło o 300 rs. Z powodu częstych wypadków na Wiśle, zarząd postanowił utworzyć w Nowym-Dworze stacye ratuukowe.

Szkoły. Mieszkańcy miasta Turka zostali zawiadomieni przez władzę naukową, że stosownie do ich życzenia, może tam być otwarta szkoła rzemieślnicza. Przy dołączeniu do niej oddziału ślusarskiego wymagana będzie zapomoga od miasta w sumie rs. 6,000 rocznie, z dodaniem zaś klasy stolarstwa — rs. 7000.

— W ciągu trzech lat ostatnich magistrat założył w Warszawie, oprócz istniejących dawniej, jeszcze 30 nowych elementarnych jednoklasowych szkół miejskich, dla bezpłatnego kształcenia dzieci ludności naj-

*) „Ueber die Schätzung der Entfernung bei Thieren“ w *Zeitschrift für vergleichende Augenheilkunde.*

**) P. B., który powyższe uwagi napisał na podstawie sprawozdania *Kuryera codz.*, nie wiedział zapewne, że dr. O. w swym odczycie zrobił kilka innych ważnych odkryć: np. że koń nie czuje uderzenia batem, że pije nozdrzami itp. *Red.*

uboższej. Obecnie na utrzymanie wszystkich owych zakładów dla dzieci chrześcian magistrat wydaje 68,000 rs. Z zebranego materyału przekonano się, że liczba szkół jest dostateczną, ale nie mają one odpowiednich pomieszczeń, i skutkiem tego połowa liczby dzieci, wymaganej przez przepisy, nie może uczęszczać na naukę. Obecnie władze miejskie zajęły się wyszukaniem odpowiednich lokali.

— P. Helena Trębicka przy ul. Żelaznej w Warszawie otworzyła nową szkółkę freblowską.

Zdrowie publiczne. W osadzie Śniadowie, gub. łomżyńskiej potrzebny jest lekarz. Okoliczni obywatele płacić mu będą pensyę. Szczegółów udziela p. Bilczyński, właściciel apteki w Śniadowie przez Zambrów.

— W Otwocku powstał nowy zakład, przeznaczony dla chorych, potrzebujących systematycznej kuracyi hydropatycznej, dyetetycznej, lub kumysowej. Jest także internat dla stałych pacyentów. Wyrobem kumysu trudnią się sprowadzeni tatarzy. Z leczenia korzystać mogą nietylko chorzy miejscowi, lecz i przychodni, mieszkający za obrębem zakładu.

Koleje i komunikacye. Ustanowiono 24 nowe marszruty do podróży okolnych, przyczem pasażerowie mogą się zatrzymywać w każdym punkcie drogi.

— Art. 64 przepisów pocztowych zmieniono w ten sposób, że w razie wykrycia pieniędzy w listach zwyczajnych, pod opaską lub w posyłkach wartościowych, konfiskowana będzie nie cała suma, lecz tylko część czwarta i dzielona w połowie między urzędnikiem, który wykrył, i osobami uczestniczącemi przy protokóle. Resztę należy doręczać wraz z listem lub posyłką podług adresu.

— Wprowadzono już w życie zniżoną o połowę taryfę osobową i bilety powrotne wszystkich trzech klas na kolei Dąbrowskiej pomiędzy stacyami: Radom, Bzin, Kielce a Chęcinami.

Zmarli. Edward Foucaud w Paryżu, profesor Collège de France, na katedrze sanskrytu.

— Marya Zofia Szwarc, jedna z najpopularniejszych powieściopisarek szwedzkich, w Sztokholmie. Liczne jej utwory przyswojono i naszej literaturze.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu S. Szudrawskiemu w Wilkes Barre. Odebraliśmy.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Мая 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.